POWROT POSŁA
KOMEDYA
WE TRZECH AKTACH

przez

JULIANA NIEMCEWICZA P. I.

Liberius si
Dixero quid, si forte jocosius hoc mihi juris
Cum venia dabis.

HORATIUS.



Edycya druga, do którey przydane są bayki, i dumy.

W WARSZAWIE 1791.

w Drukarni Uprzywilciowaney MICHAŁA GRÖLLA,
Księgarza Nadwornego J. K. Mci.

DO

JAŚNIE WIELMOŻNEGO JMCI PANA

STANISŁAWA NAŁĘCZ

MAŁACHOWSKIEGO,

MARSZAŁKA SEYMOWEGO i KONFEDERACYI KOR:

Referendarza Koronnego.

JAŚNIE WIELMOŻNY MCI DOBRODZIEIU!

Wpaiać w umyſły prawidła zdrowe i uczciwe, zachęcać do cnot publicznych i domowych, było pisma moiego celem. Komuż ſłuſzniey poświęcić ie mogę, iak temu, który cnotą i ſtałością ſwoią publicznego i prywatnego życia ſtał ſię przykładem: Kiedy Rzeczpoſpolita było w poniżeniu, wśrzod powſzechnego prawie zepſucia żyiąc nieſkazitelnie, oczekiwałes w ſmutku i tęſknocie powſtania iey pory. Opatrzność przywiodła tę chwilę ſzczęśliwą, wnet ſerce, umyſł, wſzyſtkie duſzy twey ſiły,

poświęciłeś usłudze publiczney. Trzeci rok iak trzymasz styr obrad naszych; cnotliwe i rzetelne postępowanie twoie ziednało ci ufność naylepszego z Królów, ziednało szacunek i wdzięczność wszystkich ludzi poczciwych. Bodayby Nieba czuwaiące nad losami Rzeczypospolitey, dla dobra iey zachowały cię iak naydłużey; bodayby i tobie i tylą rzadkiemi przymiotami obdarzonemu godnemu Koledze twemu dodawały coraz nowych sił, ażebyście rozpoczęte dzieło postawienia Rzeczypospolitey rządną, szczęśliwą, i poważaną do skutku przywieść mogli. Tę są naygorętsze serca moiego życzenia, w szczęściu bowiem oyczyzny moiey, i szczęście i chlubę moią zakładam. Jestem z winnym uszanowaniem.

JAŚNIE WIELMOŻNEGO WMOŚĆPANA
DOBRODZIEIA

nayniższym sługą

JULIAN URSYN NIEMCEWICZ,

Poseł Inflantski.

DO CZYTELNIKA.

Ma to do siebie umysł człowieka, i łatwiey daleko i uwagę swą zwraca, i korzyści odbiera, z rzeczy, które pod postacią rozrywki uczą go i bawią, niż z takich, które surowym i nauczycielskim przepowiedane tonem, umysł iego bez odpoczynku wysilaią i dręczą. Wady ludzkie w całey swoiey wystawione śmieszności, prędzey nie iednego poprawiły, niż czytanie zgłębiaiących tychże wad filozoficznych traktatow. Smieszność naystrasznieyszą iest dla miłości własney bronią: i taka iest boiaźń oney, iż częstokroć ludzie wolą być godni nagany, aniżeli śmiechu. Ztąd sztuki teatralne maiąc za cel poprawienie obyczaiow, za pożyteczne uznane, i we wszystkich oświeconych kraiach zachęcane były. W kraiu wolnym, gdzie każdy obywatel składa cząstkę powszechnego rządu, nietylko prywatnego życia obyczaie, ale zdrożne względem całości kraiowey opinie prostować należy. Jest to rzeczą nayważnieyszey wagi: opinie te fałszywe, lub prawdziwe, zdrożne lub rozsądne stanowić będą o szczęściu lub nieszczęściu Rzeczypospolitey Radbym bardzo, żeby dowcipy pełne zdrowych i rozsądnych prawideł, zatrudniały się tym widokiem: w piśmie, które na publiczność wydaię, usiłowały życzenia i chęci, ale nie

udolność odepchneła daleko od zamierzonego celu. Pracuiąc około dzieła tego. nie miałem na widoku osob, ale wady, przesądy, i zdrożne obyczaie, pamiętny zawsze słow sławnego naszego Poety. (*)

Nigdy ia w szczegulności nikomu niełaię,
Czołem biie osobom, ganię obyczaie.

Pewien iestem, że charaktery osob nayśmiesznieyszych w Komedyi moiey, iakiemi są Szarmantcki, Starosta, i Starościna, nieznayduią się zupełnie takie w kraiu naszym, lecz trzeba było zebrac znaydować się mogącę błędy i śmieszne zwyczaie, i umieścić ie w iedney osobie, ażeby wady iey tym wydatnieyszemi i biiącemi w oczy uczynić, ażeby czytaiący i patrzący tym więcey nabierali wstrętu do tego, co iest złym i nieprzyzwoitym, tym więcey naśladowali to, co iest dobrym i pożytecznym. Taki był moy zamiar: umysły nieuprzedzone, niechay mię sądzą, przez wzgląd na dobre chęci, niech nieudolności przebaczą.

(*) J. W. Naruszewicz Biskup Łucki i Brzeski Lit.

PRZEDMOWA
DO DRUGIEY EDYCYI.

Publiczność raczyła przyiąć Komedyę tę z dobrocią i łaſkawością, które mię do łez rorzewniły; przepuściwſzy błędom dzieła wzgląd miała na chęci piſzącego, te że były nayczyſtſze zaręczyć mogę, i do tey iedney zalety przyznaię ſię śmiele. Niechwaliłem tylko to, co ieſt przykładnym, dobrym, pożytecznym, ganiłem co w publicznym lub prywatnym życiu ſtaie nieprzyzwoitym, złym, i ſzkodliwym; tych trzymaiąc ſię prawideł, ſądze żem ani obyczaiow obraził, ani przeciw prawom wykroczył. Zatrudnionemu publicznym urzędem czas niedozwolił poprawić tey drugiey Edycyi, wolnieyſze życia mego chwile poświęcę pracy, w którey użytek publiczny będzie mi zawſze na celu, od tego żadne nieodſtręczą mię prześladowania. Wiele mi ieſzcze pracować zoſtaie, póki nieuſprawiedliwie i niezaſłużę choć po części na te łaſkawe względy, które mi publikum okazać raczyło, i które ja przyimuię raczey, iak zachęcenie, nie zaś iak, zaſłużoną iuż nadgrodę.

OSOBY.

PAN PODKOMORZY.
PANI PODKOMORZYNA.
STAROSTA GADULSKI, koligat Podkomorzyny.
STAROŚCINA. żona iego z powtornego małżeństwa.
TERESA, corka Starosty z pierwszego małżeństwa, wychowana u Podkomorstwa.
WALERY, syn Podkomorstwa, amant Teresy.
SZARMANTCKI, kawaler modny zalecaiący się do Teresy.
AGATKA, pokoiowa Podkomorzyny.
JAKUB, lokay.
KOZAK, Szarmantckiego.

Scena na wsi u Podkomorstwa.

Supponuie się, że rzecz się odprawia pod czas limity przed zebraniem się nowego wyboru Posłow.

POWROT POSŁA
KOMEDYA.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.
JAKUB i AGATKA.

JAKUB, (*nakrywaiąc Stolik.*)

Jmość Panna Agatka niech ſię trochę krząta,
Już to będzie podobno godzina dzieſiąta,
Sniadanie czy gotowe?

AGATKA.

Od ſamego ranka;
Kłacę ſię; zwarzyła ſię dwa razy śmietanka.

JAKUB,

Żal mi ciebie Agatko,... Jakże się masz zdrowa?

AGATKA.

Dziękuię ci: Herbata i Kawa gotowa,
Lecz coż, Imość śpi, Pan się dopiero przebudził.

JAKUB.

Pan Starosta ich wczoray tak do pożna znudził,
Jak zaczoł to o Seymie, to woynach baiać,
Ze wszystkiemi się sprzeczać, wszystkich kłucić, łaiać,
Gęba się nie zamkneła przez całą wieczerzę,
Powywracał butelki, szklanki, i talerze,
Naostatek chociaż mu nikt nieodpowiadał;
On iednak zapyrzony iak gadał tak gadał,
I dopiero iak postrzegł, że iuż wszyscy spali,
Że świece gasły, przecież mrucząc, wyszedł z sali,
I na schodach dokończył ostatka swey mowy;
Prawdziwyż to gaduła!

AGATKA.

Potrzeba zayść w głowy,
Z takiemi natrętami, czyli Boska kara!
Prawda że się wybornie, dobrała ta para,

Bo i żona Starosty przednia w swym gatunku,
Wszystkich znudziła, wzdycha. w ustawnym frasunku,
Zawsze narzeka; nie wiem co siedzi w tey głowie!
Bòg dał piękny maiątek, honory i zdrowie,
A zawsze nieszczęśliwa, we dnie spać się kładzie,
A całą noc się tłucze w dzikiey promenadzie,
Płacze, patrzy na miesiąc, gada do obłokow,
Wzywa iakichścić cieniow, iakichściś wyrokow;
Starosta się z nią żeniąc musiał być szalony,
Ach co to za rożnica od nieboszczkiey żony,
Już teraz takich nie ma: to to Pani rzadka,
Co to za gospodyni, iaka dobra Matka!
Jak córkę swą kochała;

JAKUB.

Pewnie że dzisieysza,
Mniey od pierwszey rozsądna, lecz za to modnieysza,
Byłaby z niey zrobiła pocieszne stworzenie,

(słychać za Teatrum trąbkę myśliwską.)

AGATKA.

Ale co to za hałas, co to za trąbienie?

JAKUB.

To zapewne Szarmantcki wyieżdża na łowy.

AGATKA.

Ten ſowizdrzał dom cały przewrocić gotowy,
Co też on niewyrabia, gada bez pamięci,
Lata zkąta do kąta, wierci ſię i kręci,
Każdą zaczepi, ja mu nie mogę darować,
Wczoray na ſchodach, chciał mię gwałtem
pocałować;
Jam ſię od tey napaści iak mogła broniła,
Nareſzciem go ze złości za włoſy chwyciła,
Lecz śmiech mię ieſzcze bierze, uciekł przelę-
kniony,
A w ręku mym ſię zoſtał warkocz przyprawiony,
Chceſz? to ja ci daruię tę zdobycz ogromnę.

JAKUB.

Niechcę, ja mu kawałka tego niezapomnę.

AGATKA.

Niewiem dla czego trzpiot ten u nas przeſiaduie,
Widzę, że Starościnie bardzo nadſkakuie,
I ſamemu Staroście, ieżli nie mylę ſie,
To podobno zamyśla o Pannie Tereſie.

JAKUB.

Kto? on? niechże Bóg broni: takowe zamęście,
Przy mi oſoby tey pannie, oſtatnie nieſzczęście,
Ktożby ią znowu oddał trzpiotowi takiemu?

AGATKA.

On iey nigdy niegodzien.

JAKUB.

Daymy pokoy temu.
Mowmy raczey o ſobie: Agatko kochana!
Ja cię kocham, tyś do mnie trochę przywiązana,
Znaſz mię iuż od lat kilku; ieſtem pańſtwu wierny
Pilny w mych powinnościach, a choć zbiorek mierny,
To go pomnoży praca, ſtaranie, a zatym,
Będzie człowiek ſzczęśliwym, będzie i bogatym;
Prawda, że ſię w podległym ſtanie urodziłem,
Zawſze iednak poczciwym, rządnym wiernym byłem.

AGATKA.

Niełudziłam ſię nigdy chiwością maiątku,
Chcę ſłuchać mego ſerca, i mego rozſądku,
Miałam znaczne dość partye; wſzak wieſz z tey tu włości,
Starał ſię o mnie długo, ów Pan Podſtarości,
Człek hoży, maiący ſię wcale należycie,
Lecz iakiż los mię czekał, iakie ſmutne życie,
Mieć męża, co z urzędu daie ludziom plagi,
I na znak doſtoieńſtwa, i ſilney powagi,

Widzieć nad moim łużkiem kańczuk zawieszony,
Niechcę by kto od męża mego był dręczony,
Nieprzypadł mi do serca urząd ni osoba,
Ten będzie moim mężem, kto mi się podoba;

(bierze go pod brodę.)

A tak wiesz ieżli do mey ręki masz iuż prawo,

(oglądaiąc się.)

Państwo nadchodzi, czas iuż pośpieszyć się z kawą,
Bądź zdrow.

SCENA II.

PANI PODKOMORZYNA, PAN PODKOMORZY, i STAROSTA.

STAROSTA, *(prowadząc Podkomorzynę pod rękę)*

Com mowił wczoray, powtarzam dziś rano,
Coż WaćPani nie iesteś ieszcze przekonaną?

PODKOMORZYNA, *(z tonem sprzykrzonym.)*

Jestem prawdziwie, milczę i wszystkiemu wierzę,

STAROSTA.

Niedosyć na tym, bo to zapewnie nieszczerze,

Trzeba wchodźić w uwagi, przyczyny, powody,
Tym ſpoſobem przyidziemy do zupełney
zgody,
Otoż tak, powiedziałem wczoray na wieczerzy,
Że ta woyna która ſię w około nas ſzerzy,
Potrwa może ſię mylę, ale mniey lub więcy,
Potrwa lat ośmnaście i dziewięć mieſięcy,
Potym zgodzą ſię iak ſię każdy iuż zmorduie,
Bo zwyczaynie po woynie pokoy naſtępuie.

PODKOMORZYNA.

Tak do tych czas bywało, lecz ſiadaymy proſzę,
(Siadaią, Podkomorzyna nalewa kawę, wſzyſcy piią, ieden Staroſta trzymaiąc w ręku mruczy pod noſem, na boku.)
Ah! iakie ia też nudy z tym człekiem ponoſzę.

STAROSTA.

WaćPani niepamiętaſz woyny ſiedmioletni,
Właśnie w ten czas, gdy umarł ſyn moy
małoletni,
Pamiętam, że Trybunał ſądziłem w Piotrkowie,
Kaſztelan był Marſzałkiem, niech mu Bóg da
zdrowie;
Pani Woiewodziny ſądziliśmy ſprawę,
Niewiem, o dożywocie, czyli o zaſtawę,
Kiedy przyſzła wiadomość, że pokoy zawarty
Ja właśnie u Marſzałka grałem w ten czas
w karty,

Kazaliśmy dać wina, walnieśmy się spili,
Za zdrowie Niemcow, co się w owych bitwach bili;
Otoż pożar i dziśiay tak będzie ognisty,
Bo iak zważam gazety i z różnych mieysc listy,
Jak razem kombinuię przeszłe przyszłe rzeczy,
Woyna potrwa i nikt mi tego niezaprzeczy,
Jedne Państwo upadnie, a drugie się dźwignie.

PODKOMORZYNA.

Ale Starosto kawa tym czasem ostygnie.

STAROSTA, (*pije i gada daley.*)

Jak się to wszystko skończy, ja tak przewiduię,
I zobaczycie z czasem, ieźli niezgaduię,
Cała ta długa woyna na tym się zakończy,
Że Krol Pruski z Cesarzem nayściśley się złączy,
Anglia z Francyą obronne uderzy przymierze,
Moskwa Krym cały odda, a Chiny zabierze;
Szwed waleczny na zawżdy złączy się z Duńczykiem,
Turczyn zaś wszystkich mocarstw będzie pośrzednikiem.

PODKOMORZY.

Przyznać należy, że to systema iest nowe,
Względem moiey oyczyzny spokoyną mam głowę,

Zawarliśmy z Potężnym ſąſiadem przymierze,
Jużeśmy dziś pewnieyſi.

STAROSTA.

Ja temu nie wierzę,
Polſka nigdy ſię z nikim łączyć niepowinna,
Niech cicho ſiedzi, ale niech nie będzie czynna,
A ieżeli koniecznie o przymierze chodzi,
Niech ſię zdalękim łączy co iey nieza ſzkodzi,
Z Hiſzpanią, Portugalią, nawet z Ameryką.

PODKOMORZYNA.

Z Perſami, Tatarami, albo z Siczą dziką.

STAROSTA.

Pewnieże lepiey z niemi; pożytek ztąd czyſty,
WaćPani zawſze ſprzeczna.

(*wchodzi Jakub z liſtem.*)

PODKOMORZY.

Cóż tam?

JAKUB.

Z poczty liſty.

PODKOMORZY, (*odpieczętowawſzy.*)

A to od mego ſyna, chwalebna ich praca,
Zawieſzona na chwile i ſyn moy powraca,
Cieſz ſię kochana żono, dziſiay go uyrzemy,

PODKOMORZYNA.

Jakżem ſzczęśliwa, dawno iuż po nim tęſkniemy.

PODKOMORZY.

Jam nietęſknił, gdy zadość czynił urzędowi,
Dom zawſze uſtępować powinien kraiowi,
W nieprzytomności iego cieſzyły mię wieści,
Że ſię wśrod tych cnotliwych mężow ſyn moy mieści,
Co z przemocy i hańby kray naſz wydobyli.

STAROSTA.

Nie długo ſię tym wſzyſtkim będziemy cieſzyli,
Bòg wie co porobiły Seymuiące Stany,
Dla czego ten rząd, po co te wſzyſtkie odmiany?
Alboż źle było dotąd, a naſi przodkowie,
Niemieliż to rozumu i oleiu w głowie?
Byliśmy potężnemi pod ich uſtawami,
Jak to Polak ſzczęśliwie, żył pod Auguſtami,
Co to za Dwory, iakie Trybunały huczne,
Co za paradne Seymy, iakie woyſko iuczne,
Człek iadł, pił, nic nierobił, i ſuto w kieſzeni,
Dziś ſię wſzyſtko zmieniło i bardziey ſię zmieni;
Zepſuli wſzyſtko, tknąć ſię śmieli okrutnicy,
Liberum Veto tey to wolności źrzenicy, *(płacze.)*
Przedtem bez żadnych intryg, bez naymnieyſzey zdrady,
Jeden Poſeł mógł wſtrzymać Seymowe obrady,

Jeden oyczyzny całey, trzymał w ręku wagę.
Powiedział niepozwalam, i uciekł na Pragę,
Coż mu kto zrobił: ieszcze że tak przedni wniosek,
Miał promocye, i dostał czasem kilka wiosek;
Dzisiay co kto dostanie? nowomodne głowy,
Chcą robić iakieś straże, iakiś Seym gotowy,
Czysie do despotyzmu otwieraią pole.

PODKOMORZY.

Wskrzeszaią mądrą wolność skracaią swywole,
Ten to nieszczęśny nierząd, to Seymow zrywanie,
Kray zgubiło, ściągneło obce panowanie
Tę zaborow, te srogich klęsk naszych przyczyną,
I my sami byliśmy nieszczęść naszych winą,
Gniiąc w zbytkach, lenistwie, i biesiad zwyczaiu,
Myśleliśmy o sobie, a nigdy o kraiu;
Klęskami oycow nowe plemie ostrożnieysze,
Wzgardziwszy zyski, było na całość bacznieysze.
Nieba zdarzyły porę, oni ią chwycili,
Oyczyznę z pod cięszkiego iarzma wydobyli,
Walcząc wszystkie przeszkody gorliwą robotą,
Idąc przykładem Króla, i własną swą cnotą,

Powracaią porządek, i sławę oyczyznie,
Stokroć szczęśliwy, że choć przy puźney
siwiznie,
Uyźrę, że Polska rządna i że poważana.

STAROSTA.

Wiem, że WaćPanu, każda przyiemna odmiana,
W księgach się tych dzikości wszystkich nauczyłeś,
W tych księgach, nad ktòremi, iuż oczy straciłeś,
Ja co nigdy nieczytam, lub przynaymniey mało,
Wiem, że tak iest naylepiey, iak przedtym bywało,
Rownycheś sentymentow nauczył i syna,
Czysto w zdaniach tatunię swego przypomina,
Pięknie się na dzisieyszym Seymie popisował.

PODKOMORZYNA, (*z żywością.*)

W nieuczciwym go zdaniu nikt nieposzlakował.

STAROSTA.

Niewiem czyli złe zdanie, czyli też uczciwe,
Może bardzo rozumne, ale niegorliwe;
Każdey rzeczy iakoweś zgłębianie zdaleka,
To śmieszne iakieś względy na prawa człowieka,

To zawody sumienia, to delikatności,
To iakieś szanowanie świętych praw własności,
Za naszych czasow na to wszystko niezważano,
Wszyscy byli kontenci, robiono co chciano,
Rozumiesz, że syn iego dokazywał wiele?
Raz się w tydzień odezwał, lub we dwie niedziele;
Poseł gadać powinien.

PODKOMORZY.

Powinien wprzod myślić,
W kilku zważonych słowach, łatwiey rzecz iest skryślić,
Niżli w rozwlekłey mowie, bez ładu i związku,
Być upartym pozorem niby obowiązku,
Człek rozumny, co łączy światło z przekonaniem,
Długo waży, niźli się odezwie z swym zdaniem,
Obstaie przy nim, nie przez wrzaski przeraźliwe,
Nie dla tego że iego, lecz że sprawiedliwe.
Człek cnotliwy, iest stałym, człek pruźny upartym.

STAROSTA.

Ja co mowię, i myślę sposobem otwartym,
Powiedam, że uparty człek zawsze wygrywa,
Swieży mam tego przykład; rok ledwie upływa,

Kiedy byłem na dziele Chorążego ſynow,
Nayſtarſzy iak ſię uparł, o kilka tam młynow,
Nieſłuſznie prawda; coś my ſię, go naproſili,
I nie i nie; nareſzcie, bracia uſtąpili,
Powiedzże WaćPan teraz, że uparty traci.

PODKOMORZY.

Wielki zaiſte zaſzczyt, że ukrzywdził braci,
Jakże WaćPan takiego dopuściłeś działu?

STAROSTA.

Mowiłem młodſzym. żeby ſzli do Trybunału,
Niechcieli; wolim cierpić, niż z bratem ſię kłucić,
Niechże cierpią; lecz chcąc ſię do pierwſze-
go wrocić,
Jakież WaćPana zdanie o Seymie gotowym?
Czyli ſię to z rozumem może zgodzić zdro-
wym?
Zeby Poſeł w urzędzie, był dwa lata trwale,
Seym powinien być tylko o Swiętym Michale,
Nie więcey iak ſześć niedziel, tak przedtym
bywało.

PODKOMORZY.

I to wſzyſtkich klęſk naſzych przyczyną ſię
ſtało;
W nierządzie i letargu Narod zanurzony,
Raz we dwa lata Seymem bywał przebudzony.

Nie dla tego by radził, lecz żeby się kłucił,
W nieładzie wszystko zastał, w nieładzie porzucił,
Kray usiawnych zaradzeń może potrzebować,
To powinien w swym rządzie bez zwłoki znaydować.

STAROSTA.

Bez zwłoki! to o Seymie nie można powiedzić,
Dzisieyszy przez dwa lata nieprzestał się biedzić,
I coż ci Prawodawcy dobrego zrobili?
Wszystko pozaczynali, a nic nie skończyli.

PODKOMORZY.

Narody szybkim pędem do upadku lecą,
Lecz długo trzeba czekać, niżli się oświecą,
Nim się zwalczą przesądy duch niezgod obłudny
Nad wkorzenionym błędem tryumf światła trudny;
Czernić Seym ten iuż rzeczą stało się zwyczayną,
Niezrobił tyle co mogł, nikomu nie tayną,
Ale zważaiąc iakie znaydował trudności,
Za to, co zrobił, wiele winniśmy wdzięczności,
Niepodlegamy nigdy panowi obcemu,
Zważmy czymeśmy byli lat tylko dwie temu,
Wewnątrz słabi, niezgodni, srodze uciśnieni,
U postronnych nieznani, albo też wzgardzeni,

Dziś się sława Narodu i powaga wraca;
Obywatel z radością podatek opłaca,
Przez wolny soiusz dawna świetność nam oddana,
Mamy dziś sprzymierzeńca, mieliśmy wprzód Pana;
Woyska wzrastaią, pełne szlachetney ochoty,
Patrz na okrytę zbroią, cney młodzieży roty,
Skarby złotem, zbroiownie Spiżem napełnione;
Będą ieszcze dla Polski dni świetne wrócone;
Będą, byleby Narod cnotą zapalony,
Chęcią dobra Oyczyzny z Królem połączony,
Uwodzić się namowom przewrotnym niedawał,
I w zaczętey iuż pracy, nigdy nieustawał;
Niech każdy ma szczęśliwość powszechną w pamięci,
I miłość własną, kraiu miłości poświęci,
Z dawnym wyborem w krutce nowy się połączy,
Co pierwszy niedokonał, to drugi dokończy,
Czynnie robiąc, zaradzi powszechney potrzebie,
Zyska szczęście dla kraiu, a sławę dla siebie.

STAROSTA.

Wszystko to piękne słowa i piękne nadzieie,
Lecz na te obietnice, ia się tylko śmieię,

W tym

W tym rżądzie ſkryta iakaś intryga pracuie,
Ja ſię na nic niezgodzę, zaraz proteſtuię, *z paſyą*.
A gdy zdanie WaćPana, ſprzeczne z moim wſzędzie,
Syn iego moiey còrki pewnie mieć nie będzie.

PODKOMORZY.

Coż ſprzeczka naſza ma ſię tykać mego ſyna?
Ześmy innego zdania, to nie iego wina,
Porywczo loſem còrki, niezechceſz rozrządzić,
Raczyſz wprzòd zięcia poznać, i zdatność oſądzić;
Naybardziey młodych oſòb, zważyć guſt ſkłonności.

STAROSTA.

Znam ie iuż Dobrodzieiu.

SCENA III.

(Lokay Staroſty oddaie Bilet Podkomorzynie.)

LOKAY.

Bilet od Imości.

PODKOMORZYNA. *(czyta.)*

Bardo ieſtem rozgniewana, że nie mogę udać ſię na przyiemne Ich śniadanie; głowa źle mi robiła przez noc całą, i Koſzmar przeſzkadzał mi zamknąć oko; ieſtem w ſtraſzney ſebleſie, ſkoro będę lepiey, polecę w ręce kochaney kuzynki.

PODKOMORZY.
Rozumie kto z Waćpaństwa, co ten bilet zna-
czy?

PODKOMORZYNA.
Kuzynka z Francuzkiego myśli swe tłómaczy.

PODKOMORZY.
Głowa źle mi robiła? co za wyraz nowy!

PODKOMORZYNA.
Znaczy *la tete m' a fait mal*, Francuzkiemi
słowy.

PODKOMORZY.
Dziwić się nie należy, ieźli Starościna,
Nie rozumie po polsku, nie iey to iest wina;
Ale tych raczey co iey dali wychowanie,
Co wytworności dzikie powziąwszy mnie-
manie,
Gardząc własnym ięzykiem i rodem i kraiem,
Chowaią dzieci Polskie, Francuzkim zwy-
czaiem,
I taką na nie baczność od kolebki łożą,
Że mamki i piastunki z zagranicy zwożą:
Ktoż ich do dalszey nauk doprowadza mety?
Madam, co gdzieś we Francyi robiła kornety,
Albo włuczęga Francuz; i coż ztąd wynika?
Młodzieniec zapomniawszy własnego ięzyka,
Obcym nawet źle mowi, i gdy wiek ubieży,
Uczyć się musi co do Polaka należy,

Bo dotąd wſkazywane maiąc obce wzory,
Wie dobrze kto ieſt *Veſtris*, (*) nie wie kto Batory,
Powſzechnieyſza ieſt we płci niewieściey ta wada,
Wychowanie ich z zalet, pozornych ſię ſkłada,
Więcey powabow, niżli obyczaiow liczą,
Schowane żeby były pożycia ſłodyczą,
Nadgrodą cnych poſtępkow, i ſkromności wzorem,
Nie, przekładaią obcych, ſinieſzności iść torem,
Wlały w nie wiele nauk, ich nauczycielki,
Procz powinności żony i obywatelki;
Tak w wſzyſtkim trzymaiąc ſię obcego zwyczaiu,
Widziemy cudzoziemki w właſnym naſzym kraiu.

PODKOMORZYNA.

Wyznayże przyiacielu, żeś nazbyt ſurowy,
Znayduią ſię i w naſzym kraiu białogłowy,
Co umieią ſzanować święte ſtadła związki,
I pełnią dobrych matek i żon obowiązki.

PODKOMORZY.

Wiem, że ſą takie, ſamaś WaćPani dowodem,
Wiem, że ſą znakomite i cnotą i rodem,

(*) Sławny we Francyi tancerz.

Co żyią skromnie, kray swoy nad wszystko
kochaią,
Obywatelskie cnoty w synow swych wpaiaią;
Widzieliśmy, iak idąc Rzymianek przykłady,
Dzieliły z nami chętnie publiczne nakłady,
I z skrzń pozdeymowawszy przepyszne ozdoby,
Oddały ie Oyczyznie: takiemi sposoby,
Niewiasta w wolnym kraiu, chwały dostępuie,
Takich ia obyczaie i cnoty szanuię,
Lecz ganić nieprzestanę nierozsądne matki,
Co łożąc na swę corki maiątku, ostatki,
Daią im wychowanie, wykwintne i modne,
Lecz z życiem, co wieść maią, bynaymniey
niegodne,
Coż daley? miasto czuwać nad rządem do-
mowym,
Głowę nabitą maiąc, dymem romansowym,
Dzikie iakieś poięcie nabywszy o szczęściu,
Nieznayduią go w ciszy i słodkim zamęściu;
Idą zatym rozwody, skargi, narzekanie,
A wszystkiego przyczyną, zdrożne wycho-
wanie.

STAROSTA.

Ważnych uwag WaćPana cierpliwie słuchałem,
Lecz się przyznam, że w duchu serdecznie się
śmiałem,

Jakże WaćPan, co sprzyiasz, tak każdey odmianie,
Dziś żywo nowomodne ganisz wychowanie?
Wszakże ta Edukacya, te nowe przykłady,
Rownie iak Seym gotowy, iak wasze zasady,
Wyście powymyślali, dziś znow niekontenci;
Wiesz WaćPan co to było za naszey pamięci!
Młodzieniec wiedział, że go głośna czeka sława,
Gdy umiał po łacinie i Volumen prawa,
Szedł potym do wszystkiego, i ludzie bywali,
Ktòrzy nic się nieucząc, o wszystkim gadali,
Dziś spytay chłopca w szkołach prosto, niezawile,
Rozumie Horacego, pozwu ani tyle,
Głowę maiąc dzikiemi rzeczami nabitą,
Wie dobrze co ananas, a nie wie co żyto.

PODKOMORZY.

To nie dobrze: powinien znać iedno i drugę,
Niech się nayprzod sposobi na kraiu usługę,
Niech wie daley iak inne narody się rządzą,
Naśladuie ich cnoty, strzeże się w czym błądzą,
Przez takową wiadomość człek światła nabiera,
Ta kraiowych przesądow zasłonę rozdziera,
A ieźli w dalszym wieku, zwiedzi obce kraie,
Niech przeymuie ich cnoty, nie śmieszne zwyczaie,

Niech z uwag ſwych dla kraiu, pożytki gotuie,
Niechay zdobi ſwoy umyſł, lecz ſerca niepſuie.

STAROSTA.

Mowiłeś WaćPan niby na obydwie ſtrony,
Lecz widzę za nowością zawſześ uprzedony.

PODKOMORZY.

A ia mowię, żeś WaćPan przyiacielem mody.

STAROSTA.

Jakże to dobrodzieiu!

PODKOMORZY.

Mam tego dowody.

STAROSTA.

Jakież proſzę.

PODKOMORZY.

Cięſzko co znaleść na obronę.
Oto właſnym wyborem poymuiąc za żonę,
Damę zacną, lecz która, modnym wychowaniem,
Niezgadza ſię z humorem WaćPana ni zdaniem.

STAROSTA.

Miałem w tym tę przyczynę.

PODKOMORZY.

Muſiała być ważna.

STAROSTA.

Pewnieże: dość powiedzieć, że była poſażna,
Moſpanie, gdzie ſię ſumma z dobrami ziednoczy,
Tam na reſztę beśpiecznie można zamknąć oczy,
Zważ WaćPan, iak niemiało ulgnąć me ſerduſzko,
Nayprzod trzykroć gotowych znaleść pod poduſzką,
Dobra nad ſamą Wiſłą, klucz na Ukrainie,
Zaſtawę w Sondomirſkim i dworek w Lublinie,
I tak ſilnym powabom ktoż z nas oparłby ſię,
Prawda ma ſwe śmieſzności, ma ſwe widzimi ſię;
Lubi czaſem chorować, i co mi to ſzkodzi,
Ze w myślach zatopiona, po mieſiącu chodzi,
Że lubi laſy, zdroie, ſłowiki, murawy,
Niech ſobie lubi; ja znow mam moie zabawy,
Bo gdy ona w uſtroniu, rozwodzi ſwe żale,
Ja ſobie gram w warcaby, albo tytuń palę.
A tak każde kontente.

PODKOMORZY, *(na boku.)*

Łatwo temu wierzę.
Kto tak ſtałym umyſłem wſzyſtkie rzeczy bierze,

Temu dworek w Lublinie i nad Wiſłą włości,
Łatwo ſłodzą nieſmaki ſpory i przykrości.

SCENA IV.

Ciż ſami, *i TERESA.*

(Tereſa pocałowawſzy Oyca w rękę, kłania ſię Podkomorzemu i Podkomorzynie.)

STAROSTA.

Jak ſię miewaſz Tereſiu? dobrze ci ſię ſpało?

TERESA.

Nie zbyt dobrze, bo Imość cierpiała noc całą.

PODKOMORZYNA.

A miałażeś wygodę?

TERESA.

W tym tak zacnym domu,
Na wygodzie, ſtaraniu, niezbywa nikomu,
Znam go od dawna pod ich ſchowana dozorem,
Waſze życie i cnoty były dla mnie wzorem,
Czułych ich ſtarań tkliwe zachowam wſpomnienie.

PODKOMORZYNA, *(do Staroſty.)*

Co to za miłe, wdzięczne i ſkromne ſtworzenie!

Słodycz, dobre skłonności natura w nią wlała,
W oczach naszych w urodę i cnoty wzrastała,
Kocham ią iak mą cörkę.

STAROSTA.

Dobra z niey dziewczyna,
Lecz prawdę mowiąc zawsze wolałbym mieć
syna,
Ta wziąwszy posag, Bòg wie dostanie się
komu,
Z syna przecie i pomoc i wygoda w domu,
Bo czy to w Trybunale sprawę poforso-
wać,
Czy Ekonoma z intrat ściśle obrachować,
Czy pchnąć do Gdańska, zawsze dobrze użyć
syna,
Właśnie mi się Historya dobra przypomina,
Raz moy oyciec.

PODKOMORZYNA.

Starosto! powiesz przy obiedzie;
Poydziem do chorey: może tym czasem nad
iedzie,
Syn moy, i koniec długiey przyniesie tęsknocie,
Tereśiu możesz tutay zostać przy robocie.

(wychodzą.)

SCENA V.

TERESA sama.

Dziś go tedy uyźremy, dziśiay ma się wrucić,
Nie wiem, czyli się cieszyć, czyli mam się
smucić,
Z skłonnością moią walczą Rodzicow rozkazy;
Ah! dla tkliwego serca, iak okrutne razy,
Schowana z nim w tym domu, w latach mych
dziecinnych,
Miłość się przy zabawach, zaięła niewinnych,
Minely te zabawy, zostało wrażenie,
Przymuszać się ustawnie, co za udręczenie!
Wszystko mię zdradza, niech kto imię iego
wspomni,
Zapłonienie na twarzy, postrzegą przytomni,
Lecz czegoż się mam płonić? publiczny szacunek,
Upoważnia moy wybor, i słodzi frasunek,
Dziśiay go więc zobaczę.

SCENA VI.

TERESA SZARMANTCKI.

SZARMANTCKI, (*wpada niepostrzegaiąc Teresy*)
Latać godzin kilka,
I iednego nieruszyć zaiąca ni wilka,
To ostatnie nieszczęście,

postrzegaiąc Teresę,

Niech pani daruie!
Że się przed nią w zbryzganym fraku prezentuię,
Wraz ztąd lecę, i włożę ciemny wigoniowy,
Oczy iey iuż mi słodzą, niepomyślne łowy,
Ale biedny kasztanek!

TERESA.

I cóż mu się stało?

SZARMANTCKI.

Nieszczęscie: w zdłuż i w poprzek zbiegłem knieię całą,
Lecę przez pole, i iuż wypadam na drogę,
Raptem utkwił w zagonie, i wywichnął nogę.

TERESA.

Żałość WaćPana rownie iest słuszna iak szczera.

SZARMANTCKI.

Od pierwszego go w Anglii kupiłem pikiera,

Był to pierwszy koń w świecie, co nie ma przykładow,
Wygrał ieden po drugim dwadzieścia zakładow,
Ach gdybym tu iuż serca nieuwięził mego,
Wrazbym leciał do Anglii szukać podobnego.

TERESA.

W tak chwalebnym zamyśle, nie mogę zgadywać,
Ktoby tutay WaćPana śmiał dziś zatrzymywać.

SZARMANTCKI.

Zezwolić ną to byłabyś WaćPnna skłonna?
(widząc, że Teresa patrzy nań z podziwieniem.)
WaćPanna dobrodzieyka lubisz ieździć konno?

TERESA.

Jeszczem nie probowała.

SZARMANTCKI.

W Anglii wszystkie panny,
Czy to na polowanie, czy na spacer ranny,
Inaczey iak na koniu niewyiadą prawie,
Ja sam teraz na wiosnę bawiąc się w Warszawie,
Kasztelance iednego z koni moich dałem,
Jak ma siadać, iak iezdzić, sam pokazywałem,

Z razu ledwie wyiechać śmiała na ulice,
Teraz, od tak wysokie, sadzi kobylice,
Wieżdza na wszystkie progi i na wszystkie
ganki.

TERESA.

Tak śmiałey powinszować można wychowanki.

SZARMANTCKI.

Gdyby pani ofiarą niewzgardziła sługi,
Cała ma slaynia na iey byłaby usługi,
Chciey tylko rozkazywać i dawać mi prawa.

TERESA.

Wdzięczna WaćPanu iestem, lecz taka zabawa,
Chociaż nie iest naganną, iednak mię nie
łudzi.

SZARMANTCKI.

Co za rozkosz ach! byłbym nayszczęśliwszy
z ludzi,
Gdybym się mógł znaydować przy niey bez
ustanku,
Gdybym obok niey iadąc iasnego poranku,
Gdzie gwar ptaszząt przyiemny, gdzie źrzódeł
mruczenie,
Mógł iey nayżywsze moie malować płomienie,

I łzy moie mieſzaiąc z roſą niebios wonną.

TERESA.

WaćPan widzę koniecznie chceſz ſię kochać konno,
Inna ofiarę iego przyiąć będzie zdolną,
Ja odchodzę.

(Odſuwa kroſienka, i chce odchodzić, Szarmantcki ią zatrzymuie)

SZARMANTCKI.

Życzeniom bądź moim powolną,
Chciey mię ſłuchać; na ſilne przyſięgam iey wdzięki,
Że ieźli mi niezechceſz ubliżyć twey ręki,
Będzie moim ſtaraniem, byś przez te zamęście,
Znalazła czegoś warta, znalazła twe ſzczęście,
W każdym razie uprzedzać, będę twe życzenie,
I prawem będzie dla mnie każde twe ſkinienie,
Nie będzie ci zbywało na żadney zabawie,
Zimę i lato ſiedzieć będziemy w Warſzawie,
Będzieſz zawſze opływać, we wſzyſtkie doſtatki,
Dom modnie meblowany, wieczerze, obiadki,
Będzieſz przyimować gości i onych odwiedzać,
Karpantie z Szodoarem będą ſię wyprzedzać,

Który pierwszy z Paryża nowość iey sprowadzi,
Brać będziesz, co iey tylko chęć i gust doradzi,
Nareszcie: żebyś nawet w meblach była wzorem,
Sklep Hampla i Reyślera będzie ci otworem,
Jeżli ten dowod moiey miłości iest słaby.

TERESA.

Przyznaię, że ma w sobie łudzące powaby,
Lecz ja spokoyne życie nad przepych przekładam,
I w modach i w Warszawie szczęścia niezakładam,
Kłaniam WaćPanu. *(odchodzi)*

SCENA VII.

SZARMANTCKI sam.

Zimne niby pożegnanie,
Ale iak mię to gniewa takie udawanie,
Bo to niby odmawia i niby się chwieie,
A wewnątrz wiem, że dla mnie z miłości szaleie.

Nie takie panny człowiek wyprowadzał ź głowy,
Ach! żeby tylko mógł być kasztanek moy zdrowy,
Reszta pomyślnie idzie, Teresa mię kocha,
Oyciec mię życzy, całkiem za mną iest macocha,
Parę milioników, dobrze iest zacapić,
Przynaymniey długi człeka nie będą iuż trapić,
(*słychać hałas za Teatrum; Szarmantcki ogląda się*)
Cała widzę czereda wali się z hałasém,
Ja uciekam, i frak moy odmienię tym czasem.

SCENA VIII.

PODKOMORZY, PODKOMORZYNA. STAROSTA, LOKAY, po tym.

PODKOMORZY.

No chwała Bogu przecież nasza Starościna;
Nie ma gorączki, lepiey mieć się iuż zaczyna;

STAROSTA. (*cicho do Podkomorzego.*)

Są to chimery, na dzień w łuszku leżyć rada,
Kiedy chce tylko, to ią ta słabość napada.

JAKUB.

Jakub, (*wpada z radością.*)

Panicz naſz ſtarſzy iedzie, i barwę i człeka,
Wſzyſcyśmy rozeznali, choć ieſzcze zdaleka.

Podkomorzy.

Wſzakżem mówił WaćPani, że na obiad ſtanie.

Podkomorzyna, (*z radością.*)

O Boże! iakże tkliwe będzie powitanie,
Czy on tylko zapewne! ah dla matki tkliwy!
Co za radość, ah! iakiż to moment ſzczęśliwy,

(*Bieży do okna i patrzy.*)

Ah on, ale daleko.

Podkomorzy, (*idzie także do okna, Tereſa zdaleka za nim patrzy.*)

Już moſtek na rzyce,
Minoł, ah iak ſię śpieſzy, iuż wieżdża w ulicę.

Podkomorzyna.

Z radości wſtał z powozu, i chuſtką znak daie.

Teresa, (*z pomieſzaniem na boku.*)

Radość i pomieſzanie w ſercu mym powſtaie.

Starosta.

Właśnie ſobie wſpominam, kiedym z dyrektorem,
Wracał ze ſzkoł do domu nad ſamym wieczorem,

Byłem iedynak, i mnie rodzice kochali,
Ale nigdy podobnych ſcen nie wyrabiali.

PODKOMORZYNA, (*z radością.*)

Już wieżdża w bramę, bieżmy naprzeciwko niemu.

STAROSTA, (*chwytaiąc ią za rękę i zatrzymuiąc.*)

Rodzice naprzeciwko ſynowi ſwoiemu!
To wcale nieprzyſtoi.

SCENA IX.

Ciż ſami; Walery wpada z radością; Matka bieży przeciw niemu, i padaiącego na kolana chwyta za ſzyię.

PODKOMORZYNA.

Ah! moy ty kochany,
Wracaſz na łono matki tak dawno czekany,
Jakże ieſtem ſzczęśliwa, że ciebie oglądam,
Nie, iuż na świecie więcey.... niczego nie żądam.
Ty nie wieſz co dla ſyna ſerce matki czuie!

WALERY, (*całuiąc ręce matki z rozrzewnieniem.*)

Czuię matko, ah! radość głos mi odeymuie.

(*Wydziera ſię od matki i idzie do oyca.*)

PODKOMORZY, (*ściſkaiąc go.*)

Synu móy, miło ciebie nazwać tym imieniem,
Uczciłeś ie przykładnym urzędu ſprawieniem,
Patrząc na cię, naywiękſzy mam powod weſela,
Że w ſynu moim widzę iuż obywatela,
Że los wam dla oyczyzny dał w ten czas pracować,
Gdzieście śmiałym działaniem mogli ią ratować;
Mnie ſtaremu iuż głowę opędził wiek ſiwy,
Żyłem w uciſku, ani byłem tak ſzczęśliwy,
Ohydna przemoc, podłość, chciwość, duch nie śmiały,
Narod niegdyś tak ſławny w uciſku trzymały;
Dziś koniec klęſkom, legnę ſpokoyny iuż w grobie,
Gdy zoſtawię oyczyznę i was w lepſzey dobie.

WALERY.

Oycze! bodayby Bòg cię naydłużey zachował,
Jeżlim ſię nienagannie w urzędzie ſprawował,
Winienem to przeſtrogom, które mi dawałeś,
Prawidłom co z dziecińſtwa w ſerce mi wpaiałeś,
Żebym kochał oyczyznę, i trzymał ſię cnoty,

STAROSTA.

No czy iuż się skończyły te wszystkie pieszczoty!

(*Walery idzie ku niemu i kłania się.*)

Kłaniam WaćPanu, no coż ustały iuż przecie,
Mądre prace WaćPanow, tak sławne po świecie?

(*z urąganiem.*)

Oy teraz to dopiero będziemy szczęśliwi?
Teraz!

WALERY.

Bylebyśmy byli zgodni i cierpliwi,
Uyrzemy dobre skutki nowego porządku.

STAROSTA.

Jam wszystko iuż przewidział z samego początku,

(*pod czas, gdy Starosta rozmawiał z Podkomorzym, Walery wita się z Starościanką.*)

Ciekawe między nami będzie tu spotkanie,
Gotuię Jegomości nie iedno pytanie.

PODKOMORZY.

Potym Starosto, dziś mu spoczynku po drodze,
Potrzeba.

PODKOMORZYNA, (*do Walerego.*)

Dzisiay wszystkie tęsknoty me słodzę,

Z radościąś dom zobaczył?

WALERY.

Ah! możnaże komu,
Bez czułego wzruſzenia zbliżyć ſię do domu,
Uyźrzyć te lube ſzczyty, gdzie ſię człek uro-
dził,
Te lipy, pod ktòremi w dziecińſtwie ſię chło-
dził,
Myślić, że ſię zbliżaią chwile pożądane,
W ktòrych ucilka oyca i matkę kochanę,
Ktoż ſię w ten czas niewzruſzy, ktoż ſię nie-
roſkwili!

PODKOMORZYNA.

Bodaybyśmy ſię więcey nigdy niedzielili.

WALERY.

A z braci mych żadnego w domu nie zaſtałem!

PODKOMORZY.

Młodſzego za towarzyż do znaku oddałem,
Uczy ſię ſłużby; właśnie ściągnęła brygada,
A śrzedni zaś w Cywilney Kommiſſyi zaſiada,
Tęſkno mi bez nich, ale w tym chlubę znay-
duię,
Ze każdy ſyn moy ſłuży, żaden nie prożnuie.

STAROSTA.

A ia właśnie podobne ułożenie ganię,
Ktoż się przy gospodarstwie, przy domu zo-
stanie?

PODKOMORZYNA, (*patrząc na zegarek.*)

Już się też obiadowa przybliża godzina,
Może, że też iuż wstała z łóżka Starościna.

STAROSTA.

U stołu będziem sobie gadać należycie,
I kielich za pomyślne spełniemy przybycie.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.

SCENA I.

TERESA sama.

TERESA.

Przybył nakoniec, godzin iuż kilka upływa,
Jak w radości, boiaźni, nie pewna, troſkliwa,
Gdy każdy z nim rozmawia i wita ochoczy,
Ja ledwie nań nie pewne śmiem podnośić oczy;
Pytaniami ciekawych uſtawnie dręczony,
Nie dał i iedney chwili ſwoiey ulubioney,
Te ſerce troſkow pełne, i w uſtawnym drżeniu,
Wśrzod tylu przeſzkod; po tak długim niewidzeniu,
Co go uſtawnie dręczy, co cierpi, co czuie,
Na łono przyiaciela wylać potrzebuie;
Dochowałam ci wſzyſtkich uczuć moich święcie!

SCENA II.

TERESA, WALERY.

WALERY, (*z uczuciem całuiąc ręce Teresy.*)

O! Boże co za radość, iak słodkie przeięcie!

TERESA.

Jesteś z nami, twóy widok troski me osładza,
I długiey niebytności, tęsknotę nadgradza.

WALERY.

Ta nie przytomność, co nas tak długo dzieliła,
Tereso serca twego dla mnie nie zmieniła?

TERESA.

Mogłżeś wątpić? uczucia w dziecińśtwie powzięte,
Dochowałam ci mimo przeszkody zawzięte,
Ty wśrzod zabaw, 'wśrzod świata wielkiego rzucony,
Samą pracą, widokow mnostwem rostargniony,
Łatwiey ponosić mogłes smutek oddalenia,
Mnie każde mieysce twoie, wznawiało wspomnienia;
Przywodzić czasy z tobą strawione tak mile,
Myśleć o tobie, tobie poświęcać me chwile,

To ſzczęściem, zatrudnieniem, to było codziennym.

WALERY.

Wśrzod tylu roztargnienia, nie ſtałem ſię zmiennym,
Czas wſzyſtek poświęcałem pierwſzey powinności,
Odpoczynek wſpomnieniom, i czułey miłości,
Ani rozumiey, żem ieſt tak płochy, tak ſłaby,
Zebym ſię przez łudzące dał uwieść powaby,
Te piękności, tak bardzo podobać ſię chciwe,
Widziałem bardziey próżne, a niżeli tkliwe,
Wolą być przez czcicielow roie otaczane,
Niż ſzczyrze kochać, i być na wzaiem kochane,
Wierz mi: im bardziey chlubne wdzięki i ozdobą,
Nie iedną z nich ròwnałem w ſercu moim z tobą,
Tymeś ſię ſzacownieyſzą w oczach mych ſtawała.

TERESA.

Jeżlim ſię godną twego ſzacunku zdawała,
Jeźli nie wſzyſtko we mnie podległe naganie,
Taką mię uczyniło, matki twey ſtaranie,
Wdzięczność dla niey, mą tkliwość dla ciebie pomnaża.
Serce tobie oddane, niczym ſię nie zraża,

Ty mię kochasz, to dosyć; w układach swych dziwni,
Oyciec móy i macocha, dotąd nam przeciwni,
Człeka pustego, trzpiota, chcą mi dać za męża,
Ah! względy posłuszeństwa wstręt we mnie zwycięża,

(*z rozrzewnieniem.*)

Z tobą żyć tylko pragnę, ciebie kochać stale,

WALERY.

Duszę mi przenikaią Tereso twe żale,
Lżeyszemi być powinny, bo wspolnie cierpiemy,
Może, że tyle przeszkod stałością zmożemy,
Oyciec twóy, co bogactwa, nad wszystko przenosi,
Sądzi, że zbiorow iego, żądza mię unosi,
Jak się myli, iak krzywdzi, me szczere płomienie,
Od wszystkich iego bogactw, uczynię zrzeczenie,
Niech ie zatrzyma, ale niech mię odda ciebie,
Część moia szczupła, przecież wystarczy potrzebie;
Z tobą milsze mi będzie nad posagi hoyne,
Słodkie pożycie, szczęście, godziny spokoyne,

To me ſerce nad wſzyſtkie doſtatki przenoſi.

Teresa, (*poſtrzegaiąc lokaia Staroſciny.*)

Otoż człek mey macochy.

Lokay.

Jeymość panny proſi

Teresa.

Powiedź, że zaraz przyidę, maſz tedy dowody,
Momentu być nie możem z ſobą bez przeſzkody,
Ani oſłodzić troſkow, ni pocieſzyć żale,
Bądź mi zdrow móy kochany; lecz nim ſię oddalę;

(*dobywa z kieſzeni pas ſzyty.*)

Przyim tę pracę rąk moich, ten dar nader ſkromny,
Na dowod żeś był zawſze myślom mym przytomny;
Strzeżona uſławicznie z pracą ſię mą kryłam,
Ukradkiem w nocy pas ten dla ciebie uſzyłam,
Niechay cię dar ten o mey wierności zapewnia.

Walery.

Tereſo! dobroć twoia do łez mię rozrzewnia.

Teresa.

Bądź zdrow, odchodzić muſzę.

SCENA III.

WALERY sam, trzymaiąc pas.

WALERY.

Drogi upominku!
Tyś uymowała godzin od twego ſpoczynku,
Zeby dla mnie pracować, zakazy ſurowe,
Chcą mi wydzierać życia moiego połowę,
Lecz nie wydrą pociechy w ſercu mym ſtro-
ſkanym,
I ſłodkiego uczucia, że ieſtem kochanym,
Ale ktoż znów nadchodzi, oſobność mą kłucić.

SCENA IV.

WALERY i SZARMANTCKI.

SZARMANTCKI, (*ufryzowany z wielkim hal-
ſztukiem i w fraku eleganckim, rzuca ſię na Wa-
lerego, i całuie go.*)

Pozwol ſię przyiacielu na łono twe rzucić,
Ucałować, przypomnieć tey przyiaźni świętey,
W młodych leciech w konwikcie, tak czule
powziętey,
Wiek minoł, iakieśmy ſię z ſobą rozdzielili,
Panowie tu na nowo Polſkę przerobili,

Ledwiem ią poznał, kiedym wròcił z zagranicy,
Lecz iak to, lato całe ſtrawiłem w ſtolicy,
Nigdzie nieſpotkać!

WALERY.

Mocno tego żałowałem;
Moie zabawy, domy ktòre uczęſzczałem,
Może, że nie te były, kędyś WaćPan bywał.

SZARMANTCKI.

W ten czas u Kolſono... naywięceym przebywał,
W ulicy Uiazdowſkiey: wpośrzod pracy taki,
Jakżeś też nie wyiechał i razu na raki?

WALERY.

Prawdziwie: że ſię tego nieſkończenie wſtydzę,
Lecz ſłodzę ſtratę, kiedy dziś WaćPana widzę;
Jak długo odwiedzałeś WaćPan cudze kraie?

SZARMANTCKI.

Rok tylko, alem przeioł wſzyſtkie ich zwyczaie,
Prawdziwie: iuż nie mogłem w oyczyznie uſiedzieć,
Nayprzod: oyciec mi kazał w ſprawach ſię ſwych biedzić,

Jeździć po Trybunałach, to śliczne zabawy,
Wolałem przegrać dobra, niż pilnować sprawy.
W rok zdało mu się oddać mię do gabinetu,
Porzuciłem: nie umiem dochować sekretu;
Dzley probuiąc moiey w żołnierce ochoty,
Na był dla mnie chorągiew w reymencie piechoty,
I to mi się sprzykrzyło; przecież Opatrzności,
Zdało się oyca mego przenieść do wieczności,
Zobaczywszy się panem znacznego maiątku,
Z radości nie wiedziałem, co robić z początku,

(*poprawuiąc halsztuka i dessynuiąc się.*)

To prawda, że Bóg człeka stworzył dosyć ładnie,
Zeby iednak wykształcił figurkę dokładnie,
Chciałem Paryż odwiedzić, dobra więc dzierżawą
Puściwszy, rozstałem się z kochaną Warszawą.

WALERY.

Toś się WaćPan pod ow czas w Paryżu znaydował,
Gdy rewolucya, gdy się ow zapał zaymował?

SZARMANTCKI.

To mię też zamieszanie z Francyi wypędziło.

WALERY.

Właśnie w ten czas w tym kraiu zostać się go-
dziło;
Patrzyć na naród dzielny długo uciskany,
Który poznawał siebie, i rwał swe kaydany,
Jak na gruzach tyranii wyniosł rząd swobodny,
Był to widok człowieka rozsądnego godny,
Pewnieś się WaćPan starał widzieć i być
wszędy,
Zważałeś ich ustawy, a nawet i błędy.

SZARMANTCKI.

Wyznam WaćPanu: nie wiem co się z niemi
stało,
Bo mię wszystkie ich czyny obchodziły mało,
Dziękuię za tę sławną i wolność i trudy,
Nie uwierzysz w Paryżu iakie teraz nudy,
Nic na świecie tak wielkiey nienadgrodzi
szkody,
Panienek ani uyrzyć, teatra, ogrody,
Bulwary i foxale są prawie bez ludzi;
Człowiek nie ma co robić, cały dzień się
nudzi,
Raz pamiętam, wyszedłem kupować guziki,
Do ponsowego fraku, kupcy, czeladniki,
Jak gdyby ich umyślnie obrano z rozsądku,
Na warcie strzegli w mieście dobrego porządku,

Tak mię to rozgniewało, żem ſię wraz zawinoł,
I czym prędzey przez Kale do Anglii popłynoł.

WALERY.

Przynaymniey ten kray ſławny, tak rozſądnie wolny,
Zaſtanowić uwagę WaćPana był zdolny,
Rząd iego, rękodzieła, i uſtaw tak wiele,
Dłużey go zatrzymały.

SZARMANTCKI.

Trzy tylko niedziele,
Bawiłem w Anglii; ſrodze powietrze niezdrowe,
Kupiłem dwie par ſprzączek i ſzpadę ſtalowę,
Byłem na Parlamencie, tak iak u nas krzyki,
Lecz za to, co za ſklepy, łańcuſzki, guziki,
Kurſa koni, to w świecie naylepſza uſtawa,
Ah! przyiacielu co to za ſzczęście, zabawa,
Tych ſię cudzoziemcowi opuścić nie godzi,
Co to za widowiſko! człek w głowę zachodzi,
Nie możeſz poiąć, ieden za drugim iak leci,
Na takich koniach, ot tak prawie małe dzieci,
Pamiętam dnia iednego, śmiech mię bierze puſty,
Angielczyk ieden z małą peruczką i tłuſty,

Prze-

Przegrał niezmierny zakład w zapalczywym gniwie,
Chciał koniowi w łeb strzelić: przypadam szczęśliwie,
Daię sto funtow: i tak od śmierci niebogę,
Uwalniam biedną klaczkę, gniadą białonogę;
Potym fraszek kupiwszy moc na darowizny,
Powrócłem nareście do matki oyczyzny,
Kiedym ia się tak bawił pan sławą okryty,
Chodził ustawnie koło Rzeczypospolity,
W poszod obywatelskich trawił czas swoy trudow,
Winszuię bardzo ustaw, nie zazdroszczę nudow.

WALERY.

Ta przyiaźń z ktorąś WPan raczył mię uprzedzić,
Jeżeli mi pozwala prawdę mu powiedzić,
Powiem: że te bez zysku żadnego ieżdżenie,
Wymowić chyba może wiek, niedoświadczenie,
Odtąd innym winieneś zatrudnić się celem,
Pamiętać żeś Polakiem, żeś obywatelem,
Ześ naypierwsze twe winien oyczyznie usługi.

SZARMANTCKI.

Mam się znow dosługiwać? to sposob zbyt długi,

Urzędy, dostoieństwa; słowem wszystkie
żądze,
Łatwe do dostąpienia, gdy człek ma pie-
niądze,
Będą się kłaniać, chociaż nie będą pracować,

WALERY.

Będą się kłaniać, ale nie będą szacować:
Publicznego szacunku ten tylko bespieczny,
Kto cnotliwie pracuiąc, ludziom pożytecny:
Ale go nie otrzyma, kto tylko prużnuie.

SZARMANTCKI.

Chcesz bym był Posłem na Seym, co dziś
następuie,
Bardziey się ieszcze znudził, iak tu WPano-
wie,
A dobrodzieiu! wolę nadewszystko zdrowie;
Lata przeszłego gdyście na Sessyach siedzieli,
Gdyście się przez dzień cały męczyli, krzyczeli,
Ja z pudrem i z pomadą włos szczesawszy wonną,
Wsiadłszy w mą karyolkę, alboliteż konno,
Obiechałem Mokotow, Wolę, Krulikarnie,
Łazienki i Powązki, czasem Bażantarnie;
Wieczorem przebrawszy się, przy powiewnym
chłodzie,
Łaiałem wraz z drugiemi, Seym w Saskim
Ogrodzie,

Wypiłem z przyiaciołmi ponczu dużą czarę,
Ziadłem brzoſkin morelow za dukatow parę,
Potym koło dzieſiątey, kończąc dzień przyiemny,
Foxalowe zabawy, okrywał mrok ciemny.

WALERY.

Gdyby każdy tak żyć chciał, czymby Polſka była?

SZARMANTCKI.

Niewiem coby z nią było; lecz by ſię bawiła;
Zawſze zdania WPana ſą nazbyt ſurowe,
Zebyś mi też uſtąpił ſtatku choć połowę:
Ale ſłyſzałem, że pan myśli ſtan odmienić,
Ze ſię okrutnie kocha; ma ſię w krotce żenić,
Z piękną, połażną, grzeczną, ſłowem zacną damą.

WALERY.

Ja właśnie o WPanu ſłyſzałem to ſamo.

SZARMANTCKI.

Dalibog że nie, ale krewne uprzykrzone,
Pokoiu mi nie daią, żebym poiął żonę,
Co to za kłopot. co za bida nieuſtanna,
Tutay ciągną rodzice, tu kocha ſię panna,
Prawie chcąc mię iuż gwałcić; no i coż mam robić!
Już z bidy na małżonka trzeba ſię ſpoſobić,

Tylu prożbom wzdychaniom dać się ułagodzić,
Prawdziwie, że to bida pięknym się urodzić.

WALERY.

Te skargi oznaczaią skromnego człowieka,
Szczęśliwy kto na piękność swą tylko narzeka,
Powinszować WPanu serdecznie należy,
Nayszczęśliwszyś podobno ze wszystkiey młodzieży,
Że bez naymnieyszych starań prawie przez niechcenie.
Umiesz wzbudzać w kobietach naytkliwsze płomienie.

SZARMANTCKI.

Szczęście się przywiązało do moiey osoby,
Ale wyznać należy, mam moie sposoby,
I ktokolwiek iść zechce podług mych prawideł,
Żadna kobieta iego, nie uniknie sideł;
Na dowod, że na prożno pochwał mych nielczę,
Wraz WPanu pokażę wszystkie me zdobycze,
Listy, portrety, włosy, obrączki, pierścionki,
Te panienek, te wdowy, te od cudzey żonki.

WALERY.

Daię wiarę, żeś WPan był bardzo szczęśliwy,
Proszę, niedowodź tego przez czyn niecczciwy,

Tych co mu zawierzyły, nie zdradzay czułości.

SZARMANTCKI.

Otoż znowu pocieſzne ſą delikatności,
Jeźli maſz za uczciwość ochraniać kobiety,
Wierſz mi w ich oczach żadney nie znaydzieſz zalety,
Chciey ſię tylko w mey ſzkole cokolwiek przećwiczyć,
Tyſiącami kochanek iak ia będzieſz liczyć,
Muſzę ci me portrety pokazać koniecznie.

WALERY.

Na coż, może ſię obeyść bez tego beśpieczne

SZARMANTCKI.

Hey Kozak!

WALERY.

Ale wcale nie ieſtem ciekawy.

SZARMANTCKI.

Ale co ci to ſzkodzi, choćby dla zabawy.

WALERY.

Wierſz mi gorſzyć ſię będę z takiego uczynku.

SZARMANTCKI.

Kozak!

SCENA IV.

Ciż sami i KOZAK.

SZARMANTCKI.

Czy masz portrety co to na kominku,
Leżały, i te listy co porozrzucane,
Na stole te pierścionki z włosow?

KOZAK.

Maju Pane.

SZARMANTCKI.

Pokaż no'
Kozak szuka w szarawarach, i wyciąga portrety, listy, włosy, pierścionki.
To nie wszystko, gdzie reszta hultaiu?
Gdzie ow mały portrecik?

KOZAK.

Jey Bohu neznaju.
Szuka w szarawarach i za cholewami, nalazłszy za butem, oddaie.
Potierał za cholewu.

SZARMANTCKI.

Zważay WPan proszę,
Patrzyć na te zdobycze, co to za rozkosze,
Walery spoziera wzrokiem pogardy pełnym.

WALERY.

Przynaymniey nie chciey WPan imion ich powiadać.

SZARMANTCKI.

Czemuż nie? tych ſkrypułow czasby iuż poſtradać,

krzyczy.

Portret Szambelanowey, patrz iak wdziękow wiele,
Kochałem ią ſerdecznie, całe dwie niedziele;

Wyimuy duży pierścień włoſow i przypatruie ſię.

Już zapomniałem czyie te włoſow pierścienie,
Ha ha, pułkownikowey, oy ta ſię ſzalenie,
Kochała we mnie, ia iey nie lubiłem wcale,
Co to były za ſzlochy, narzekania, żale;

pokazuie drugi portret.

Ten portret w dezabilu i w nocnym negliżu,
Francuzka na wyieznym dała mi w Paryżu,

bierze ieden po drugim i pokazuie prędko.

To portret cześnikowey, włoſy podczaſ'anki,
Obrączka chorążyny, pierścień kaſztelanki,
A to wachlarz kuzynki, w tym zamknięciu złotym,
Liſty, chceſz czytać teraz alboli też potym

WAŁERY.

Schoway WPan i listy i te upominki,

SZARMANTCKI.

Patrzay, te wszystkie piękne brunetki, blondynki,
Płaczą dziś po mnie, ięczą, choruią i mdleią,
Każda że się powrocę, cieszy się nadzieią,
Myli się, będę srogim i nie przebłaganym.
Walery, ieźli chcesz być od kobiet kochanym,
Nie kochay nigdy, wskazuy nadziei promyki,
Oy niewież ieszcze, co to są za dobrodziki,
Człek co kobiecie szczere czucia swe oddaie,
Igrzyskiem się iey chimer i letkości staie,
Zaraz go w liczbę swoich niewolnikow liczy.
Pewna iuż ciebie, inney wraz szuka zdobyczy,
Porzuć więc skoro uyrzysz cokolwiek nie stało.
I powiedz wszystkim co się między wami działo.

WALERY. *z grozą.*

I WPan z tak haniebnym zdaniem śmiesz się chlubić!
Masz za żart zdradzać czułość i kobietę zgubić!
Wierzay mi, nic po takim człowieku nie wróżę,
Ktory krzywdzi takiego, co się mścić nie może.

Osławiać tę płeć słabą, iest niegodziwością,
Jest to połączyć razem, występek z podłością,
Jeźli przez skłonność, lub też przez świetne zalety,
Potrafisz zyskać usność i serce kobiety;
Jeźli ci czucia swoie powierzy zbyt tkliwa,
Niech ten sekret na zawżdy, w piersiach twych spoczywa,
Niech narzekać na ciebie nie znaydzie przyczyny,
Umiey pokryć iey słabość, a nawet i winy.

SZARMANTCKI.

Zbyt surową naukę chcesz mi WaćPan dawać,
Ale naylepiey rzeczy po skutkach paznawać,
Kto z nas szczęśliwszy? czyli ia z niegodziwością,
Czy WaćPan z swą dyskrecyą, swą delikatnością?
Patrz.

Pokazuie mu portret.

WALERY *z naywiększym zadziwieniem*

Portret Starościanki! ah przysięgnę śmiele,
Nie masz go z rąk iey, powiedz przez iakie fortele,
Do zbioru uwiedzionych przez sztuczne obroty,
Przydałeś obraz wdzięków, czułości i cnoty,

Powiedz, odday go zaraz, albo w tym żelazie,
Znaydzież koniec twym zbrodnim i czułey urazie,
Uſpokoy mię! wſzak widziſz moią zapalczywość!

SZARMANTCKI.

Ale poco te gniewy, dla czego ta żywość,
Gniewaſz ſię, że kochanka ciebie oſzukuie!
Smiać ſię należy.

SCENA VI.

Ciż ſami i STAROSCINA.

STAROŚCINA, *w dezabilu i miną omdlewaiącą.*

Jakiż ia hałas znayduie,
patrząc na Walerego, który w pomieſzaniu.
Coż to? WaćPan wyrabiaſz tak okropne krzyki,
Parlés plus bas, wſzakże to, nie waſzé ſeymiki,
La tête me fait mal; wſzyſtkie nerwy mi wſtrząſnąłeś,
Z odmianą ſtroiu widzę i tony przeiołeś,
Wolę wyiść bo to taka turniura iuż waſza,
Gotoweś ſię i na mnie porwać do pałaſza.

WAŁERY.

WaćPani dobrodziki żądaniom dogodzę,
Chciey zostać, nie lękay się, ia z mieysc tych odchodzę.
(*wychodzi*)

SCENA VII.

SZARMANTCKI i STAROSCINA.

STAROŚCINA.

Quel ton! po coż tak krzyczał sposobem nieznośnym,

SZARMANTCKI.

Nie wiem zkąd mu się wzięło być zemną zazdrośnym.

STAROŚCINA.

C'est assez drole prawdziwie, to on kochać umie?

SZARMANTCKI.

A zkąd znowu, on tego wcale nie rozumie,
Jego rzecz mowy pisać, prawo zacytować,
Lecz tey tkliwey czułości, nie umie poymowoć,

Tych rzutow ſtrc do ſiebie, tego rozrzewnienia.

STAROŚCINA.

Tych łez ſłodkich, tych nocy bezſennie trawienia.

SZARMANTCKI.

Bezſennie? on noc całą chrapie iak zabity.

STAROŚCINA.

Ah! bo mu ſerca ogień, nie pali ukryty,
Ni okrutne ſuwniry. (*płacze,*)

SZARMNTCKI.

Te łzy, te roſpacze,
Porzuć proſzę, bo ia ſię prawdziwie rozpłaczę.

STAROŚCINA.

Come vous êtes bone honête iak maſz duſze tkliwe,
Ty ieden cieſzyć możeſz ſerca nieſzczęśliwe.

SZARMANTCKI.

Wſzyſtkiego mi ſię zwierzyć możeſz poufale,
Z dawna widzę, że ſmutek, ciężkie iakieś żale,
Struły życie WaćPani, uſtawnieś ſtroſkana.

STAROŚCINA.

Twarz WaćPana otwarta, dyſkrecya tak znana,

Ufność we mnie wzbudzaią, wszystko mu odkryię,
Widzisz w iakich suspirach i tęsknocie żyię,
Une perte cruelle o Boże! w kwiecie mey młodości,
Kochałam szambellana, cud doskonałości,
Quelle figure & quels talents, iak cudnie walcował.
Jakie fraki, halsztuki, ah! iak się fryzował!
Ja co zawsze nad względy miłość mą przekładam,
Mimo rodzicow, chciałam z nim uciec od madam,
Złączyć się z mym Idolem .... Kiedy parki srogie,
Przecieły nożyczkami dni iego tak drogie.
(*płacze.*)

SZARMANTCKI.

O! żale o rospacze! o dniu nader smutny!

STAROŚCINA.

Niewiesz ieszcze przez iaki przypadek okrutny;
wyimuie z kieszeni pulares atłasowy, i z niego papier.
Oto wiersopis ieden, znany z swey czułości,
Podał go rymy swemi, do nieśmiertelności,
Ja nie mam siły sama, mowić o tey zgubie.

SZARMANTCKI.

Przeczytam, bo ia bardzo ſmutne wierſze
lubię.

Szarmantcki czyta:

ELEGIA NA ŚMIERĆ SZAMBELANA.

Płaczcie małe amorki, płaczcie Alciony,
Szambelan iuż nie żyie, ſzambelan zgubiony,
A z nim zginęły wdzięki, młodość i rozkoſze,
Uciſzcie ſię zefiry... Zgon iego ia głoſzę,

STAROŚCINA.

Jak to czule piſano... O gorzkie wſpomnienie!

SZARMANTCKI *czyta daley,*

Febus dnia tego mgliſte rzucaiąc promienie,
Oyciec wieczney świattości czynow naſzych
świadek,
Zapłakany przeglądał nieſzczęſny przypadek.

STAROŚCINA.

Ah czemuś go nie przeſtrzegł, mieſzkaiący
w Niebie!
O ty nie litościwy! o okrutny Febie!

SZARMANTCKI *czyta dali.*

Gdy ſzambelan do butow ſrebrne przypiol kolce,
I przed ganek zaiechać kazał karyolce,
Wſkoczył na powoz świetny, i w prędce podane,
Chwycil iak od niechcenia leyce ſrebrem tkane,
I bicz Angielſki, giętki, długi, trzaſkaiący,
Tak podobny do Bogow w powozie ſtoiący,
Przelatywał ulice wśrzod przepyſznych gmachow,
Sięgaiąc prawie głową latarni i dachow,
Leciał: byſtre bieguny nie ścignione okiem,
Okrywały go gęſtym kurzawy obłokiem;
Zbiegały ſię do okna panny i mężatki,
Widzieć ten cel ſwych życzeń, widzieć ten cud rzadki,
Szczęśliwa, ktorą ſpoſtrzegł i uchylił głowy;
Już był biegu ſwoiego dopełniał połowy,
Kiedy o oſtry kamień koło rozpędzone,
Uderza, pęka, powoz ſchylony na ſtronę,

Wyrzuca ſzambelana: pada i umiera;
Na próżno zbroczonego ſtangryt z krwie obciera,
Już nie żył; taka była ſrogich Bogow wola;
Amorki duſzę iego w Elizeyſkie pola,
Prcenioſtſzy, poſtawiły między Adoniſem,
Dydoną, Eurydyką i pięknym Paryſem:
Równie świeży iak ruża żył tyle co ona,
O! ſtrato równie cięzka, iak nie nadgrodzona,
Nigdy więcey na świecie drugi nie powſtanie,
Równie piękny młodzieniec, iak ty ſzambelanie;
Wcoż ſię teraz obrocą piękne twoie ſprzączki,
Konie, fraki, łańcuſzki, i złote obrączki,
Ach w coż ſię twoia czuła kochanka obruci,
Smutek, żałość i roſpacz życia iey ukruci,
Fatalna karyolko, ia będę przeklinał,
Dzień nieſzczęſny, gdzie Dan ... robić cię zaczynał,
Płaczcie małe amorki, płaczcie Alciony,
Szambelan iuż nie żyie, ſzambelan zgubiony,

SZAR-

SZARMANTCKI *z rozrzewnieniem*

Ah co za czułe wierſze! żal mi ſerce ściſka,
I chociaż ten przypadek nie tyka mię zbliſka,
Smutny będę przez tydzień.

STAROŚCINA.

Ja zaś całe życie.
W plentach i gorzkich żalach trawić będę ſkrycie,
O vous ombre cherie! (*płacze.*)

SZARMANTCKI.

Czemuż Nieba zagniewane,
Złączyć nie dozwoliły ſerca tak dobrane.

STAROŚCINA.

Tą śmiercią omylona w naytkliwſzym wyborze,
Le reſte de mes jours chciałam przepędzić w klaſztorze,
I zoſtać bernardynką. Rodzicow rozkazy,
Nowe ſercu mojemu przyczyniły razy,
Łącząc mię *malgré moi* z dziwacznym człowiekiem;
Co ſię niezgadza zemną ni guſtem ni wiekiem,
Który nawet wyrazow moich nie rozumie,
Co ſię attandryſſować ni jęczyć nie umie,

I kiedy ia w naytkliwszym iestem rozkwileniu,
On przychodzi mi gadać o życie, ięczmieniu,
O fryorze do gdańska.

SZARMANTCKI.

A to rzecz nieznośna,
I cierpi na to dusza prawdziwie miłosna,
Delikatney czułości WaćPaniś iest wzorem,
Ah! czemuż starościanka, nie idzie iey torem.

STAROŚCINA.

Jakże Panna Teresa WaćPana znayduie?

SZATMANTCKI.

Kocha mię, ale tego niedość pokazuie,
Podkomorzyć ią także pono balamuci.

STAROŚCINA.

Bądź WaćPan pewien, że się konkurencya skruci,
En vain podkomorzyna krząta się i swata,
Córki naszey nie damy, nigdy za sensata.

SZARMANTCKI.

Zamiast romansow, w których czułość i zabawa,
On by iey kazał czytać wolumina prawa.

STAROŚCINA.

Zanudziłby ią na śmierć, tego nieścierpiemy,
I ia i mąż móy nawet WaćPana życzemy.

Szarmantcki, *klękaiąc z zmyślonym zapałem.*
Wſzechmocne Nieba, coście dały iedną duſzę,
Bym nieſzczęſney czułości ponosił katuſze,
Daycie drugą bym znieść mogł rozkoſz nie poięte.

Starościna.

Ah! wſzak to słowa z nowey Heloiſy wzięte!
Jak ſzczęśliwieś przytoczył takiego kochanka,
En verité nie warta zimna ſtarościanka,
Mais bientôt ma tu nadeyść mąż moy uprzykrzony,
Chcę z nim pomowić, WaćPan bądź iuż zapewniony,
Ze koniec położemy czułey iego męce,
Ze Tereſa iuż iego.

Szarmantcki.

w WaćPani ia ręce,
Składam me loſy, czucia i ogień ukryty.
(*odchodzi.*)

SCENA VIII.

STAROSCINA ſama.

O ciel! co to będzie za mąż wyśmienity,

Je suis fiere de mon choix i wielbię niebiosy,
Zaraz mu staróścianka musi dać swe włosy,
W czułych tandressach słodkie te serca daniny,
Więcey są warte, niż te głupie zaręczyny,

po chwili zamyślenia.

Ils sont passés pour moi, te chwile miłośne,
Zostały się cyprysy i ciernie nieznośne.
Dni moie pełne smutku i pełne żałoby,
Z tobą ia Jungu mieszkać, będę między groby,

dobywa nocy Junga i czyta, przerywa czytanie, i woła.

O Jungu! twoia corka, twa corka kochana,
Nigdy nie była warta mego szambelana.

SCENA IX.

STAROSCINA i STAROSTA.

STAROSTA.

Coż się WaćPani dzieie! sądziłem że gorę!
Albo, że ktore w domu zemdlało lub chore,
Zkądże te krzyki?

STAROŚCINA.

Mon coeur źle się trochę czuię,
Głowa mię boli, iakiś *frisson* mię przyimuie,

Starosta.

Jaki u licha friſſon, ciało pewnie zdrowe,
Lecz te diabelſkie kſiążki bałamucą głowę,
Te was przenoſzą w iakieś dziwaczne krainy,
I każą płakać wzdychać, choć nie ma przyczyny.
Nie w takim matki naſze bałamuctwie żyły,
Przędły, piekły pierniki, lub w kroſienkach ſzyły,
Były przytym weſołe, ſzczęśliwe i zdrowe,
Niedurzyły im głowy dymy romanſowe.

Starościna *płacze.*

Chcieć WaćPanu dogodzić, ieſt rzecz widzę próżna,
Kiedy ſię nie podobam, to ſię rozwieść można.

Starosta (*na boku*)

Tam do kata, gdyby iść chciała do rozwodu,
Utraciłbym połowę rocznego dochodu,
To nie żart, żonę taką trzeba menażować,

do Starościny śmieiąc ſię, i biorąc ią za rękę.

Nie robaczku, ia tylko chciałem tak żartować,
To ſię ciebie nie tyczy, bądź uſpokoioną,
Ah drugiey takiey żony nie znalazłbym pono,

Nierozdzielim się nigdy, lecz czemuż tak biedna,
Niechcesz się czym rozerwać, siedzisz sama iedna.

STAROŚCINA.

Lubię sobie przez okno patrzyć na naturę,
Szarmantcki robił zemną maleńką lekturę,
Tout à fait garçon brave, i pełen tandressy,
Vraiment bardziey nad innych wart Panny Teresy,
Nierefiuzuy mu dłużey.

STAROSTA.

Trudno troche człeku,
Wybrać między młodzieżą zepsutego wieku,
Mamy dwoch konkurentow, każdego ktoś swata,
Potrzeba wziąść za zięcia trzpiota lub sensata,
Przyznam się, wolę tego co iuż iest swym panem,
Nie będę się zatrudniał przynaymniey ich stanem,
Lecz sensat bez maiątku bez dóbr i pieniędzy,
Morałami swoiemi nie opędzi nędzy,
Nowy przyczyni zachod wydatai troski,
Trzeba zaraz dać posag, lub wypuścić wioski,

Ja zaś, niech się iak kto chce śmieie i urąga,
Ja za życia moiego nie dam i szeląga;
Niechay się sam iegomość fortuny dorabia.

STAROŚCINA.

Votre argent Szarmantckiego zapewne niezwabia,
Au déssus des tresors, nad drogie kamienie,
Woli régard Teresy, albo iey westchnienie.

STAROSTA.

I iakże to o posag przykrzyć się nie będzie?

STAROŚCINA.

Jamais, on sobie w małey kabance osiędzie,
Na zielonym ryważu iasnego strumyka,
Słuchać będzie z Teresą tkliwego słowika,
A quoi bon les richesses, w cichey solitudzie,
Zyć będą niezważaiąc co powiedzą ludzie,
Des fruits, *du lait*, to ich będzie pożywienie,
Łzy radosne napoiem, pokarmem westchnienia

STAROSTA.

Jeżeli tylko takie mieć będą zabawy,
Jeźli się będą tuczyć takiemy potrawy,
To pewnie w krutkim czasie oboie wychudną,
I gościom u ichmościow będzie bardzo nudno,

Lecz powiedz ſzczerze, to on poſagu nieżąda?

STAROŚCINA.

Parole d'honneur wcale ſię na to nie ogląda,
Nie myśli o poſagu, gdy kto kocha ſzczerze.

STAROSTA.

To dobrze, niechże ſobie corkę moią bierze,
Ja nic mu dać nie mogę; choć te wſzyſtkie
ſwaty,
Rozumieią, że ieſtem okrutnie bogaty:
Ja atoli nic niemam, nie takie to czaſy,
Grunta poiałowiały, ſpuſtoſzały laſy,
I w polu tego roku zupełnie chybiło.
Po nizinach wymokło na wzgurkach ſpaliło,
Siana i ździebła nie będzie, toż ſamo z iarzyną,
Cieſzyłem ſię przynamniey, cokolwiek oz-
miną,
Alić ſię dowiaduię z liſtow ekonoma,
Że i te nie umłotne, ſama tylko ſłoma,
Na przyſzły rok nie myślić nawet o fryorze.

STAROŚCINA.

Mon coeur ieſteś pono w niedobrym humo-
rze,
Mam cię proſić o łaſkę.

głaſzcze go pod brodę.

Starosta *całuiąc ią.*

Powiedz tylko śmiele,
Powiedz mi życie moy ty kochany Aniele,

Starościna.

Oto przeciw kabinki coś mi dał w boſkiecie,
Gdzie ſobie przeſiaduię na wioſnie i w lecie,
Jeſt karczma z młynem, a w niey ſzynkuie żyd brzydki.

Starosta.

Coż że nie piękny, ale mam z niego użytki.
Z karczmy tey dwa tyſiące płaci mi arędy,

Starościna.

Eh! vous me ſacrifieres tak małenkie względy,
Znieś karczmę, proſpektowi czyni mi zawadę,
A gdzie młyn pozwol niech ia zrobie tam kaſkadę;
Ach co to za delicye wśrzod wod tych mruczenia,
Wśrzod kwiatow, ſłodkie będą przywodzić wſpomnienia,
A berżerek z daleka ſmutnie graiąc ſobie,
Będzie wdzięków dodawał przy wieczorney dobie.

STAROSTA.

Jak też WPani możesz takich rzeczy prosić,
Mam znow żyda wypędzać, młyn i karczmę
znosić,
Zeby zasadzać kwiaty i robić kaskady!

STAROŚCINA.

Toujours je vois en vous twardey duszy ślady,
Nie znasz się na tey tkliwey czułości! o Boże!
Co się to bardziey czuie, iak powiedzieć może,
Wszak posag moy wystarczy pono na kaskadę,
Si vous étes si cruel, to ia precz odiadę.

STAROSTA.

Pozwol WPani niechay pomowię wprzod
z żydem,
Może się to ułoży.

STASOŚCINA.

To dla mnie iest wstydem,
Ze tego na WPanu wyprosić nie mogę,

rzuca się na krzesło i omdlewa,

Je suis mal, je me meurs.

STAROSTA *krzyczy.*

Ratuycie niebogę,
Przybiega Agatka i lokay, daią iey wąchać wodkę, i ratuią.

Trzeba prędko zapobiedz tey nagłey chorobie,

krzyczy do ucha.

Jutro żyda wypędzę, i kaſkadę zrobię!
Niechay ſię uſpokoi me drogie ſerduſzko...
Nieprzychodzi do ſiebie! nieście ią na łużku.

Wynoſzą Starościnę z krzeſłem.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

SCENA I.

TERESA AGATKA.

TERESA.

Powiedasz, że człek co tu przebywał kryiomo,
Był to malarz z Warszawy?

AGATKA.

To wszystkim znaiomo,
Ja sama nie wiedziałam, (powiem dzisiay szczyrze,)
Czemu ten niemczyk wszystko kryślił po papirze,
I gdzie mogł na WPannę spozierał ukradkiém,
Alić się dowiaduje moy Jakub przypadkiem,
Że kochany Szarmantcki sprowadził go skrycie,
I przyrzekł'zy zapłacić prace należycie,
Tavnie portret WPanny kazał odmalować,
Pewnie żeby się potym mogł z nim popisować.
Żeby się chwalić.

Teresa (*na boku.*)

O toż cała moia wina.
Otoż Walery twoich podeyrzen przyczyna.

Agatka.

Nieborak malarz! musiał dni tu kilka ſtracić,
A przy końcu Szarmantcki niechciał mu zapłacić,
Rozgniewany: rzecz całą przed ludzmi powiedział.

Teresa.

O nieſłuſzny Walery! gdybyś błąd twoy wiedział,
Anibyś nieſtałości śmiał moiey wyrzucać,
Ani ſerca cułego na chwilę zaſmucać.

Agatka.

Panna ieſt widzę ſmutna! ach cożbym niedała.
Gdybym ią choć raz w życiu ſzczęśliwą widziała,

Teresa.

Wiem Agatko, że ſerce twe dla mnie przychylne,
Ale ſzczęście w tym życiu, tak zwodne tak mylne,
Tyle przeſzkod do niego.

SCENA II.

Ciż sami, i WALERY.

WALERY, *w głębi Teatru.*

Zalem obciążony,
Jakże stanę w iey oczach, smutny obwiniony,
Ah czymże iey zmartwienie potrafię nadgrodzić.

AGATKA, *(na boku.)*

Ma przytomność mogłaby ich zgodzie przeszkodzić,

do Teresy.

Panna pozwoli, że tu dłużey niezostanę,
Mam ieszcze dla Jeymości obszywać falbanę.

(odchodzi.)

SCENA III.

WALERY, TERESY,

TERESA.

Walery wiesz że błędu twoiego przyczynę,
Cheeszże dłużey unikać.

WAŁERY z *ogniem.*

Wyznaię mą winę;
O! Tereſo, miey litość nad ſmutnym mym ſtanem,
Nie byłem w pierwſzym razie czucia mego panem,
Gdy mi zdrayca pokazał ten obraz tak święty
Zadziwieniem, zazdrością i żalem przeięty.
Nieſzczęśliwy! nie mogłem atoli winować,
Ciebie, przywykły tylko kochać i ſzanować,
Tłumiąc żal w ſercu moim, ktory mię przenikał,
Nieſpokoyny, weyźrzeniam twoiego unikał,
Dziś iedno twoie ſłowo ſpokoyność mi wraca,
Tyle fraſunkow ieden rzut oka zapłaca,
Ach! gdy w ſercu niezgaſły cnotliwe płomienie,
Łatwo ſię wraca ufność, łatwe pogodzenie,
Zbrodzień, ktory podſtępow śmiał takich ſię ważyć,
Ktory śmiał moię miłość, twe ſławę znieważyć.
We krwi ſwey chyba zmyie urazy nieznośne,

TERESA.

Nie poſzukuy twey krzywdy przez kroki zbyt głośne,
Serce moie napełnią niepokoiem, trwogą,
O prędſzą ieſzcze zgubę przyprawić nas mogą,

Wierz mi, człowiek ten prużny zepsuty i hardy,
Nie zemsty, ale raczey godzien iest pogardy;
Co razem nieszczęśliwsza; z oycem moim zmownie,
Macocha rękę moią dała nieodzownie,
W tym okropnym przymusie iak sobie poradzę,
Lub posłuszeństwo, lub też miłość moią zdradzę.

WALERY.

Miłość z natui Tereso, ta niech koi trwoge,
Mogąż rodzicow twoich zakazy zbyt sroge,
Przymuszać byś niecnocie oddała twą rękę,
Dłużey znosić niemogąc, tak okropną mękę,
Poydę do oyca twego z moiemi proźbami,
Poydę i u nog iego wyznam mu ze łzami,
Moy stan i moią miłość i me niepokoie,
Powiem, że ciebie kocham, żeś ty bostwo moie,
Ze serca, myśli moich, tyś panią iedyną,
Z nieszczęścia naszego, stanię się przycyną,
Jeżli trwać dłużey będzie w swoiey surowości,
A ieźli serce iego przystępne litości,
Oddali od oboyga, ten cios tak głęboki,
Zmiękczy się na me proźby, cofnie swe wyroki,

TERE-

Teresa.

Bodaybyś mogł go zmiękczyć, i mogł go uprosić,
Tyś stalszy, mężniey możesz przeciwności znosić,
Ja pod niemi upadam, biedna i trwożliwa,
Wiem tylko, że cię kocham, i żem nieszczęśliwa.

SCENA IV.

Ciż sami i PODKOMORZYNA.

Podkomorzyna.

Smutnemi was me dzieci kochane znayduię;
I zmartwienia waszego przyczynę zgaduię,
Te i mnie równie, żywo iak i was obchodzi.

Walery.

Ah! matko, twoia dobroć troski nasze słodzi,
Nic tobie nie iest tayne, tyś sama patrzała,
Jak szczyra nasza miłość, z latami wzrastała,
Karmiła ią nadzieia, dziś i ta iuż znika.

Podkomorzyna.

Mòy Walery! żal ciężki serce mi przenika,

Staroſta iuż Tereſę innemu oddaię,
Całe moie ſtaranie, dziś próżnym ſię ſtaie,
Wychowuiąc was ſama z dzieciństwa oboie,
Wierzcie: nayſłodſze były te nadzieie moie,
Ze łącząc was w przyſzłości związkami wiecznemi,
Syna i wychowankę uyrzę ſzczęśliwemi.
Cnotliwe w was ſkłonności, nie były mi tayne,
Nie ſzłam nigdy przez kroki rodzicom zwyczayne,
Co ſurowością ufność w dzieciach wytępiaią;
Waſze ſzczęście i troſki, moiemi ſię ſtaią.
Kochany moy Walery, mam ciebie za świadka,
Naylepſza przyiaciołką była twoia matka.

WALERY.

Tyś była zawſze naſzą pociechą iedyną.

TERESA.

Ah! ſtań ſię dziſiay ſzczęścia naſzego przyczyną.
Zaklinay oyca mego, na krwi obowiązki,
Niech przynaymniey oddali te nieſzczęſne związki,
Niech ſię dziſiay nieſpełnia ten przymus tak ſrogi,
Ah! nie poymuieſz moiey żałości i trwogi,
Miey litość nad mym ſtanem,

Podkomorzyna.

Zal twoy żywo czuię,
I iam niegdyś kochała, i łatwo poymuię,
Te boleść, te cierpienia, te niepewność srogą.
Nie wiele proźby moie na twym oycu mogą,
Ale pòydę do niego, i żalem przeięta,
Powiem mu; niech na swoią powinność pamięta,
Niech wspomni, że iest oycem, że w twoim zamęściu,
Winien nayprzod pamiętać, o przyszłym twym szczęściu,
Nie zaś gwałtowny wybor, przywodząc do skutku.
Stać się przyczyną twego nieszczęścia i smutku,
(*podaiąc im ręce, które Walery i Teresa całuią z przeięciem.*)
O me dzieci! wszak znacie, czułość mą dla siebie,
Nie opuszczę was pewnie w tak smutney potrzebie,
(*słychać za Teatrum Starostę mówiącego.*)
To pròżno: Człek z WaćPanem nigdy się niezgodzi,
Ale gdzież ten Walery?

Teresa, (*ze drżeniem.*)

Oyciec mòy nadchodzi.

Oddalę ſię, i tobie poruczam mą całość,

PODKOMORZYNA.

Patrz iak ſię lęka, iaka z ſwym oycem nieśmiałość,
Przykro w ſwych dzieciach wzbudzić uczucia podobne.

SCENA V.

PODKOMORZYNA, WALERY, PODKOMORZY, STAROSTA.

STAROSTA.

A WaćPaństwo tu macie kolloquia oſobne!
Może przeſzkadzam?

PODKOMORZYNA.

Owſzem ieſteśmy mu radzi,

STAROSTA, (*do Podkomorzyny.*)

Kłuciłem ſię z mężulkiem, i coż to poradzi.

PODKOMORZY.

Ja ſię na moim zdaniu niezwykłem zaſadzać,
Nawet o polityce niechciałbym iuż gadać,

STAROSTA.

Wſzak co dziś przyſzło z poczty, iuż zgadłem we Wtorek.

(*poſtrzegaiąc Walerego.*)

A iakże mi ſię miewa móy legislatorek!
Coż to WaćPan przedeminą uſtawicznie zmykaſz,
Przechadzaſz ſię w zamyſłach, od ludzi unikaſz,
Może ieſzcze i w domu komponuieſz mowy;
Coż tam prędko będziemy mieli Seym gotowy?

(*z zgrozą*)

Godziłoż ſię w tym rządzie o Sukceſſyi gadać?
I gorſzyć ieſzcze naród, i w tym ſię go badać.

WALERY.

Naród ieſt panem naſzym, wie co pożyteczne,
Co dla kraiu ſzkodliwe, a co ieſt beſpieczne.

STAROSTA.

Naród o takich rzeczach gadać nie powinien.

WALERY.

Ale kiedy chce gadać, ia temu nie winien.

(*do matki.*)

Smutne uczucia moią napełniaią duſzę,
Móy żal, i moią rozpacz iuż mu odkryć muſzę.

PODKOMORZYNA.

Wſtrzymay ſię; moglibyśmy rzecz całą ze-
pſować,
Trzeba go ułagodzić, z wolna poſtępować.

STAROSTA.

Jakież on taiemnice WaćPani odkrywa.
Radzę, niech ſię z materyą taką nieodzywa,
Bo okrutnych przypadkow ia ſam świadkiem
byłem,
Pamiętam, gdy w Radomiu Trybunał ſądziłem,
Jeden panicz, chcąc z światłem ſwym ſię popi-
ſywać,
Przeciw wolnym Elekcyom, zaczął przebą-
kiwać.
Właśnie to było, gdyśmy od ſtołu wſtawali,
Jakeśmy ſię na niego do ſzabel porwali,
Nas było wielu, ledwie zoſtał ſię przy duſzy,
Wziął przez łeb kryſ z piętnaście, a obydwie
uſzy,
Ledwie mu żyd cyrulik iedwabiem pozſzywał,

(*ze śmiechem.*)

No iuż ſię potym więcey nigdy nieodzywał.

PODKOMORZY.

Prawda, że to był ieden ſpoſob przekonania.

Starosta.

Ale, iakże też można mieć tak dzikie zdania,
I przez Sukcessyą narod chcieć iarzmem uciskać,
W tym przypadku, pytam się, co kto może
zyskać?
Krol dziś umrze, nazaiutrz syn po nim nastaie,
Wszystko się w spokoyności iak wprzody zostaie;
Wszyscy cicho, i nikt się nikomu nieskłoni.
W Elekcyi, każdy swego kandydata broni,
Wszyscy na koń wsiadaią, i podług zwyczaiu,
Zaraz panowie partye formuią po kraiu;
Ten mówi do mnie z miną rubasznie przyiemną,
„ Kochany panie Pietrze, proszę bądź Waść
„ zemną,
„ Między nami, tę wioskę weź niby w dzierżawę;
Drugi żebym był za nim, puszcza mi zastawę,
Ten daie summę, i tak człek się zapomoże,
Prawda: z tego wszystkiego przyiść do czubow może;
I tak było po śmierci Augusta wtorego,
Ci bili Sasow, owi bili Leszczyńskiego,
Palili sobie wioski; no i cóż to szkodzi?
Obce woysko iak wkroczy, to wszystko pogodzi;
Potym amnestya, panom buławy, urzędy,
Szlachcie dadzą woytostwa, obietnice, względy,
Niebyłoż to tak dobrze? i coż WaćPan na to?

PODKOMORZY.

Mówić o tym, byłoby czasu próżną stratą,
Niech narod decyduie w ziazdach Seymikowych,
My tu zaś raczey mowmy o sprawach domowych.

PODKOMORZYNA.

O dzieci naszych szczęściu i postanowieniu,
Jeźli można krewnego wierzyć przyrzeczeniu,
Kiedyś staraniom naszym córkę swą powierzył,
Między oświadczeniami z których się szerzył,
Powiedziałeś, że miałbyś za naywiększe szczęście,
Ażebyś połączone przez wczesne zamęście,
Mogł oglądać te dzieci razem wychowane;
Dziś w słowie iego nową znayduię odmianę,
Nie szemrzę na nią, ani chciwa iestem zysku,
Leczbym nie rada widzieć dzieci tych w ucisku,
Kochali się z dzieciństwa, iakże bez litości,
Czynisz wbrew córki swoiey woli i skłonności,
Przymusem niechętnemu chcesz iey oddać rękę,
I oyciec właśney córce chcesz zadawać mękę.

STAROSTA.

Co za męka! wszak póydzie za człeka młodego,
Człeka, co iest swym panem, człeka maiętnego,

Wſzedłem dawniey z WaćPaństwem w nieiakieś umowy,
Lecz nie na piśmie; wſzak to było tylko słowy,
Na ow czas ich fortuna w lepſzym była stanie,
Dziś ią zmnieyſzyło ſprawy ostatniey przegranie,
A iak ſię reſzta między trzech ſynow podzieli,
Pytam ſię państwo młodzi z czegożby żyć mieli?

PODKOMORZY.

Ani mię WaćPan wstydziſz, ani też zaſmucaſz,
Kiedy mierność maiątku moiego wyrzucaſz,
Mierny iest, lecz za męstwo przodkom mym nadany,
Nie wydarty, ani też podłością zebrany,
Z cnotą oddam go ſynom; còrkim iego życzył,
Nie dla tego, żeby z nią ſyn mòy krocie liczył,
Ale żem ſądził, iż z nią ſzczęśliwym żyć będzie.

STAROSTA.

U WaćPana maxymy w naypierwſzym ſą względzie,
Co umnie to pieniądze.

WALERY.

Jeźli oto chodzi,
Ah wiem, że ſię Tereſa na to ze mną zgodzi,

Wyrzekam się maiątku, lecz żądam osoby,
Miłość, miłość cnotliwa ta poda sposody,
Że przy zgodzie, przy pracy, i przy rządzie dbałym,
Będziemy szczęśliwemi, przestaiąc na małym.
Racz się WaćPan dobrodziey prożbom mym nakłonić;
Niechciey, u nog twych proszę, szczęścia mego bronić,
Poświęcę życie moie, by iey stać się godnym,
By ci dowieść, że synem nie będę odrodnym.

STAROSTA.

Gdybym nawet innego nie miał przedsięwzięcia,
Jakżebym mogł wziąść człeka, takiego zazięcia,
Co w zdaniach swoich ze mną ustawnie iest sprzeczny,
Dobrodzieiu! nie pokoy miałbym w domu wieczny,
Rząd nasz dawny ustawnie chciałbyś przeistaczać;
Przykłady Rzymian, Grekow, Anglikow przytaczać,
Na starość chciałbyś może uczyć mię tey sztuki,
Jakże się ona zowie? tey mądrey nauki,

Co to wy teraz wſzyſcy tak bardzo chwalicie,
Lo...gi...ki... oy żeby tak które moie dziecie,
Umieć miało Logikę, zadałbym ia iemu;
A potym ciężko chybić ſłowu raz danemu,
Dla Szarmantckiego córka moia przyrzeczona,
Otoż z reſztą kompanii nadchodzi ma żona.

SCENA VI.

Ciż ſami, *STAROSCINA*, *TERESA*, *SZARMANTCKI*,

STAROŚCINA.

C'eſt une choſe bien affreuſe, to rzecz nieſłychana,
Wſzak to Tereſa ſprzeczna rozkazom WaćPana,
Niechce za męża chłopca nayczulſzego w świecie.

STAROSTA.

Co tam WaćPani ſłuchaſz co dziewczyna plecie,
Ja wiem co robię; właśnie w ſkurałbym też wiele,
Gdybym chciał ieſzcze zważać na te ceregiele;
Rzecz iuż raz ułożona, dziś ſię nie odmieni,
Kawaler kończyć pragnie, indult iuż w kieſzeni.

Xiądz Kanonik o mile, wraz ſię może ſławić,
A tak można weſele dziś ieſzcze odprawić,

(*obracaiąc ſię do Szarmantckiego.*)

No, zawczaſu iuż ściſkam kochanego zięcia.

SZARMANTCKI.

Pełen radości, pełen czułego przeięcia,
Przyimuię wyrok zdawna odemnie życzony,
Lecz ieſt podobno zwyczay, że obydwie ſtrony,
Nim ie na całe życie święte złączą związki,
Wchodzą w iakieś umowy, w iakieś obowiązki,
Że ſię poſag naznacza, intercyza piſze,
Ja o tych formalnościach nic dotąd nieſłyſzę,
Szlub naſz potym mogłby być za nieważny wzięty,
Niechcąc zaś nigdy zrywać ten związek tak święty,
Chciałbym otwarcie wiedzieć na piſmie nie słowy,
Jak wielki będzie poſag, i czyli gotowy.

STAROSTA, (*porywaiąc ſię za głowę.*)

Jak wielki będzie poſag! ah coż ſię to dzieie,
To takie WaćPan ſobie powziołeś nadzieie,
Za życia chceſz mi ieſzcze wydzierać maiątek,
A to prześliczna miłość, to piękny początek,

(*obracaiąc ſię do żony.*)

I coż WaćPani na to? wszakżeś zapewniała,
Że miłość iego za cel posagu nie miała,
Że się fruktami, mlekiem karmić tylko będą,
Że w iakiściś kabance nad rzeką osiędą,
A dobrodziko! widzisz nie o mleko chodzi,
Jegomość oczywiście na maiątek godzi.

STAROŚCINA.

O ciel! quelle bassesse ia iey nie poymuię,
W żadnym romansie rzecz się taka nieznayduie,
Fi donc Monsieur Szarmantcki wstyd mię za WaćPana.

STAROSTA, (*do córki cicho.*)

Bardzo dobrze robiłaś Teresiu kochana,
Żeś się niechciała wdawać z takim sowiszdrzałem,
Chęć posagu pokrywał miłości zapałem,
Takiemu paniczowi nie oddam twey ręki.

TERESA, (*z uczuciem.*)

Ah oycze przyim nayczulsze serca mego dzięki,
W radość zamieniasz, srogą i rozpacz i trwogę.

STAROSTA, (*do Szarmantckiego.*)

Choć oyciec, córki moiey przymuszać nie mogę,
Wstrętu iey przełożenie żadne niezwycięża,
Przez żaden sposob niechce WaćPana za męża.

SZARMANTCKI.

Z wstrętem walczyć nie można, z mieysc się
tych oddalę.
Nie iedna rada będzie ukoić me żale,

(*na boku.*)

Tu mnie nie chcą; człek inną szczęśliwą
uczyni.

STAROŚCINA.

S'il a le coeur sensible, umrze na pustyni.

WALERY, (*z cicha do odchodzącego Szarmantckiego.*)

Niechcę cię tu zawstydzać zdrad twoich od-
kryciem,
Oddaj portret Teresy, lub stracisz go z życiem.

SZARMANTCKI, (*oddaiąc portret.*)

Weź go, nie są to rzeczy tak dla mię łudzące,
Wszakiem ci pokazywał, mam tego tysiące.

(*odchodzi.*)

STAROSTA, (*oglądaiąc się.*)

Śliczny mi prałat, w targi chciał wchodzić
o żonę,
Nie uciekło to ieszcze, co iest przewleczone,

(*do córki.*)

Wiem, że cię iego ſtrata niebardzo dotyka,
Zobaczyſz, że ci znaydę ot tak fryſz chłopczyka,
Nie znaſz go, ani ci ſię można dorozumić,

Teresa.

Oycze! nie mogę dłużey uczuć moich tłumić,
U nóg ie twych wyiawiam, ſzukać nie potrzeba,
Tego, co mi z dziecińſtwa przeznaczyły Nieba,
Walery w ſercu moim wzbudził miłość tkliwą,
Z nim iednym tylko w świecie mogę być ſzczęśliwą,
Odday mię iemu... albo rozpaczą przeięta,
Niechay w poſępnych murach klaſztoru zamknięta,
Dokonam opłakanych dni moich oſtatki:
Zaklinam cię na pamięć ukochaney matki,
Tey matki, która gdyby na ſtan moy patrzyła,
U nóg twoich ze łzami za mnąby proſiła.

Starosta.

Niech Walery WaćPannie przeſtanie ſię marzyć,
Na co ſię śpieſzyć, może bogatſzy ſię zdarzyć,
Lepiey mieć zawſze właſny ſwòy kawałek chleba;
Ja oświadczam, że na mnie ſpuſzczać ſię nie trzeba.

PODKOMORZY.

I iakże myślą bogactw tylko zatrudniony,
Łzami nieszczęsney córki nie iesteś zmiękczony,
O coż chodzi; mówiłem z samego początku,
Że Walery się zrzeka posagu maiątku;
Zapisz go WaćPan komu zdawać mu się będzie,
U mnie szczęście mych dzieci w naypierwszym
iest względzie.

STAROSTA.

Wszystko to bardzo dobrze, lecz nie moia
wina,
Jeżli będzie narzekać ta biedna dziewczyna.

PODKOMORZYNA.

Z tey strony chciey swą WaćPan uspokoić
trwogę,
Uyrzysz córkę szczęśliwą, zapewnić go może,
Znaydzie dobro ważnieysze nad wszystkie
dostatki,
W mężu wzaiemność, we mnie tkliwość dru-
giey matki,
Wierz mi: nie stadło, które wiele bogactw
liczy,
Szczęśliwego pożycia doznaie słodyczy,
Niesmak w nim i niezgoda nayczęściey panuie,
I ta sytość wszystkiego, co nam życie truie,

Szczęścia szukać należy w spokoyney miernosci,
W tey dobraney umysłow i serca skłonności,
Kędy radość i troski razem się ponoszą,
Tam gdzie cnoty domowe pierwszą są roskoszą,
Kędy męża i żony, naypierwsze staranie,
Cnotliwe i rozsądne dzieci wychowanie,
Dzieci, co postępuiąc przykładną kolcią,
Staią się ich pociechą i kraiu nadzicią,
Wierz mi: takie to szczczęście dzieci nasze czeka,
Jest w twoim ręku, niech się dłużey nieodwlcka.

STAROŚCINA.

Mon ange j'étois contraire na te ich pobranie,
Mais, mais, voyant de plus pré tak czułe kochanie,
Il seroit cruel dłużey sprzeciwiać się temu;
Proszę cię, chciey iuż oddać còrkę Waleremu.

STAROSTA.

I WaćPani iuż także? to iakaś choroba,
Coż ia pocznę, kiedy się tak wszystkim podoba,
(*na boku.*)
Choć nierad, i w tym muszę mey żonie dogodzić,

Zaraz zemdleię albo zechce się rozwodzić,

(*z żywością.*)

Róbcie sobie co chcecie...

TERESA.

Więc oycze kochany,
Zezwalasz na me szczęście.

WALERY.

Jużeś przebłagany,
Pozwol, niech u nòg złożę twych nayczulsze dzięki.

STAROSTA.

Porzuć WaćPan te wszystkie wzdychania i ięki,
Zeń się, gdy takie szczęście ma się w tym znaydować,
Ja tylko będę ieden przypadek warować,
To iest: żebys mi nigdy ni dzieci, ni żony,
Nieuczył zdań, któremi sameś napełniony,
Synow wezmę do siebie w ustroniu osiędę,
Nauk, rządu, pryncipiow, sam ich uczyć będę,

Bo WaćPan iakbyś zaczoł dawać im logikę,
Porobiłbyś ſubiekta ròwnie iak ſam dzike.

WALERY.

Będziemy całym życiem oto ſię ſtarali,
Byśmy wſzyſcy łaſk iego godnemi ſię ſtali,

PODKOMORZYNA.

O! iakżem ja ſzczęśliwa.

TERESA.

Nieba nas połączą,
Walery! umartwienia dziś ſię naſze kończą.

WALERY.

Tereſo! ſzczęście moie zaledwie poymuię.

STAROŚCINA.

Prawdziwie, że mię widok ich attandriſuię.

SCENA VII. *i ostatnia.*

JAKUB i AGATKA przychodzą.

PODKOMORZYNA.

Cóż tam powiesz Agatko?

AGATKA.

Jabym prożbę miała,
Do pani,.... ale nie wiem..... coś iestem nie śmiała,
Niech Jakub powie pani.....

PODKOMORZY.

No cóż tam Jakubie?

JAKUB.

Nie wiem czy mam powiedzieć!.. Ja Agatkę lubię,
I Agatka mię lubi.

PODKOMORZY.

Cóż daley, mow szczerze.

JAKUB.

Oto, gdy Panicz Pannę Teresę już bierze,

Niechay nam państwo także dadzą pozwolenie,
Niechay i ja się z moią Agatką ożenię.

PODKOMORZYNA.

Chceszże ty go Agatko?

AGATKA.

Chcę, i proszę pani,
Ja go iuż dawno lubię.

PODKOMORZY.

No moi kochani,
Agatka obyczayna, tyś człowiek poczciwy,
Ja dwakroć w dniu dzisieyszym sądzę się szczęśliwy,
Że i takiey synowy Pan Bóg dał mi dożyć,
I razem do waszego szczęścia się przyłożyć.
Wszak wszyscy, co w obrębie mey włości mieszkacie;
Po dzieciach pierwsze mieysce w sercu moim macie;
Słodko mi było waszym zatrudniać się stanem,
Być raczey waszym oycem, a niżeli panem,
Mieć nad wami staranie chciwości daleko,
Rozciągać nie surowość, lecz tkliwą opiekę,
Dzień dzisieyszy iest dla mnie święty i radosny,
Niechcę, ażeby obchod oznaczył go głośny,

Miley mi będzie, że ci, z których żyiem pracy,
Ztwierdzą go ſzczęściem ſwoim poczciwi wie-
śniacy,
Niech ich podległość ze dniem dziſieyſzym
uſtaie,
Ciebie i włość mą całą, wolnością nadaię.

JAKUB.

Panie dobry łaſkawy pod rządy twoiemi,
My i rodzice naſi byli ſzczęśliwemi,
W dobrey i złey przygodzie z tobą razem
wſpolni,
Nie porzuciem cię nigdy choć będziemy wolni.

PODKOMORZY.

Agatko żona moia los twoy zabeśpieczy,
(do Jakuba.)
Ja ciebie nie zapomnę.

STAROSTA.

Potrzebne to rzeczy,
Do czego to znow przypiąć te ich uwolnienie,
To tylko WaćPan robiſz dla drugich zgor-
ſzenie,
Jak wſzyſtko akt ten chcecie odbyć nowomo-
dnie,
Ja go chcę odbyć dawnym zwyczaiom do-
godnie,

Nayprzod proſzę, niech ſię to odprawi przy świcy,
Antał ſtarego wina każ dobyć z piwnicy,
Niechay moździerze huczą za każdym wiwatem,
Niech panna młoda z kumem, a pan młody z ſwatem,
Ukłoniwſzy ſię wprzody idą w pierwſzą parę,
Jak zaś dobrze zagrzeie głowę wino ſtare,
Jak ſię tylko da ſłyſzeć kochana bandurka,
Człek choć ſtary z goſpoſią wytnie ſię mazurka.

STAROŚCINA.

Vraiment mnie ſię niebardzo chce być na tey fecie,
Wy ſobie *bourgeoiſement* tańcować będziecie,
Ja ſię koło pułnocy pokażę na chwilę.

STAROSTA.

Ale czemuż tak puźno?

STAROŚCINA.

Nie ieſt to w mey ſile,
Nie lubię tego zgiełku i tego hałaſu,
Wieſz *ce n'eſt pas du bon ton* przyieżdżać zawczaſu.

PODKOMORZY.

Te tak chlubne dla ſyna mego ziednoczenie,
Nayczulſze ſerca mego dopełnia życzenie,
W nim wſzyſcy znaydziem ſzczęścia naſzego
przyczyny;
Bodaybyśmy wraz dzieląc pomyślne godziny,
Między ſłodkim ſtaraniem krewnym, i domowi,
I tym co ſię należy, właſnemu kraiowi,
Cnotliwie wſzyſcy w zgodzie i iedności żyli,
I na ſzczęście Oyczyzny i dzieci patrzyli.

KONIEC.



Zakończono dnia 7. Liſtopada 1790. w Warſzawie.

BAYKI

BAYKI Y DUMY.

SOWA ZIEMBA Y KROGULEC

B A Y K A

Tłomaczona z Perskiego.

W zielonym miłym gaiku
Przy iaſno-chłodnym ſtrumyku,
Na wierzchu dawnego Demba
Gdzie woda i żyr gotowy
Zyła nieſzczęſna Ziemba
Pod ſrogą przemocą Sowy;
Ale iakie biedne życie!
Jęczała nieboga ſkrycie,
Nad rodu całego loſem;
Sowa coraz nowym cioſem
Szkody iey ſrogie zadawa
Bez względu na praſze prawa:
Gwałty wſzędzie rozpościera
Wſzyſtko pſuie i zabiera;

Nie raz z nienacka przyleci
Y zrzuciwſzy Ziemby dzieci,
W iey gniazdo (Pani nadęta)
Wkłada ſwe właſne Sowięta.
W tak przykrym ſtanie,
Płacz i narzekanie,
Zoſtały biedney ptaſzynie:
Ahć na bliſkiey Jedlinie,
Siedział Krogulec mocny, lecz wſpaniały,
Y widząc ród ptaſząt mały,
Pod ſtraſznym gwałtem ugięty,
Szlachetną litością zdięty,
W Urzędzie Pełnomocnika,
Wyſłał do Ziemby Słowika;
Z ſzczerem nad nią użaleniem,
Y z przyiaźni oświadczeniem.
Pełniąc ſwoie obowiązki.
Siadł Poſeł na brzegu gałązki,
Gdzie było Ziemby mieſzkanie;
Y tam przez ſłodkie śpiewanie,
Jey ſię niedoli lituie,
Pomoc pewną obiecuie,
Na przeciw gwałtóm Tyrana;
Na głos ten Ziemba ſtroſkana,
Z radością nadſtawia ucha,
Y iuż podchlebna otucha,
W ſmutnym ſercu radość nieci,
Już iey maleńkie dzieci,
Na głos tak wdzięczny tak miły,
Z gniazda główki wyſtawiły;
Zazdroſna Sowa, że Poſłaniec nowy,
Taką odmianę ſprawił ſwemi ſłowy,
Zaczęła także z ſwey ſtrony,
Wrzeſzczyć przykremi tony,
Lecz prożno: każdy zrozumie,
Bo Sowa śpiewać nie umie.
W tym iuż śmielſza Ziemba mała,
Więcey Słowika ſłuchała.
Gniewem okrutnym przeięta,
Gdy ſię Sąſiadka zawzięta,

Rzuca, nadyma, i gniewa,
Że ſkuteczniey Słowik śpiewa,
Ziemba tak do niey mówiła:
„ Moia ty Pani miła,
„ Kto ſię nademną lituie,
„ Kto mię wſpierać obiecuie,
„ Kto przyiemniey do mnie gada,
„ Tegom wdzięczniey ſłuchać rada,

„ Ty ſię dziwić nie przeſtaieſz ?
„ Ty co mnie ſzarpieſz lub łaieſz !

GMACH PODUPADŁY

POWIEŚĆ

Wyięta z Manuſkryptow

PRZEDUNIOWYCH.

Nie raz ten co bayki plecie,
Trefunkiem i prawdę powie,
W Mozyrſkim mówią Powiecie,
(Nie wiem, iak ſię mieyſce zowie)
Leżał Zamek ſtarodawny,
Nad czyſtego zdroiu ſpackiem,
Niegdyś wielkością ſwą ſławny.
Okazałości był wzorem,
Lecz czaſem i niedozorem,
Już zewſząd groził upadkiem.
Panowie co w nim mieſzkali,
Długo o Zamek nie dbali,
Choć ſię część iego zwaliła;
Lecz gdy i reſzta groziła,
Ze każdemu miłe życie,
Niechcąc żyć w niepewnym bycie,
Jęli myśleć o poprawie:
Co ſię w mnoſtwie rzadko zdarzy,
Zgodzili ſię w ſwey uſtawie,
Ze chcąc ruiny poprawić,
Należy ſię mieć mularzy.
W śrzód rey gorliwey ochoty,
Gdy przyiść miało do roboty,

Gdy mur nowy mieli ſtawić,
Y dawne naprawić ryſy,
Zkłucili ſię o Abryſy.
Należy wiedzieć, że niedawnym czaſem,
Gdy ſię dom walił częściami,
Pan chcąc go wzmocnić nawiaſem,
Podparł go kilką drągami;
Ale Zamek murowany,
Złe podpira drąg drewniany.
Dawni iednak budowicy,
Dzieła ſwego miłośnicy,
Chcieli by w nowych nie ſzukaiąc wzorach,
Klecić na dawnych podporach.
Lecz więkſza drugich połowa,
Szczera w chęciach w radach zdrowa,
Wołała: „ próżna robota,
„ Prożna praca i ochota.
„ Wſzyſtko będzie pełne wady,
„ Gdy wątłe będą zaſady,
„ Ze trzeba żeby Panięta,
„ Wſpomnieli na fundamenta,
„ Ze gdy te założą trwało,
„ Mogą potym ſtawić śmiało,
„ A Gmach ſtoiąc w czas daleki,
„ Zwalczy Pioruny i wieki. „
Prożna mowa, bo iedni iey nie zrozumieli,
Drudzy zrozumieć niechcieli,
Ci zaś naywięcey mieſzali,
Co budowniſta nie znali.
Bo gdy ten o podwalinach,
Y o upadku przyczynach,
Chce radzić, tamci coś nowego wzniecą,
Y z iakąś fraſzką wylecą.
Ten żąda okna poprawić,
Tamten nowy dach poſtawić,
Ten piec gdzie indziey przenoſi.
Ow gwałtem kominka proſi,
Wielu zaś oto nagliło,
Zeby drzwiczek ſekretnych iak naywięcey było,
W śrzod tak rozlicznych ſporów i niezgody,

Co Babilońſkie przypomnieli wieże
Kiedy ſię każdy niby od upadku ſtrzeże,
Y chcąc dać iaſne dowody,
Głębokiey ſwoiey mądrości,
Y niemylney oſtrożności,
Choć nie zna gmachu oſnowy,
Przydaie ſwym konceptem gabinecik nowy.
Y gdy tak każdy ſzuka ſwey zalety,
Nowe ſtawiąc gabinety,
Tyle ſię ich namnożyło,
Że iuż ſamego Gmachu ledwie widać było,
A co dziwna, że w tym gwarze,
Zapomnieli iż Mularze,
Nayprędzey potrzebni byli,
Zeby Gmach zabeśpieczyli,
Lecz czyli takie loſu zrządzenie,
Czyli iakieś zaślepienie,
Czyli że ſię Pan niechciał czeladzi powierzyć,
A czeladź bała ſię Pana,
Choć była wſzyſtkich chęć niepodeyrzana,
Nikt nie mògł ſporow uśmierzyć,
Nikt nie mógł trafić do końca.
Już nie iednego mieſiąca,
Dni na prożno uleciały,
Alić Gmach ów nadwątlały,
Nie doczekawſzy pomocy,
W pośrzòd okropney nocy,
W pośrzód gromòw przeraźliwych,
Zpadł na głowy nieſzczęśliwych,
W ten czas przy oſtatnim zgonie.
Z płaczem wſzyſcy narzekali,
Że gabinety ſtawiali,
Gdy trzeba było myśleć o domu obronie.

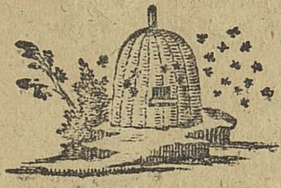
MUCHA y PSCZOŁA

BAYKA.

Już wiosna w kwiecistym wianku
Smutną postać Swiatu zdieła,
Już Ziemia roskoszą tchneła,
Kiedy iasnego poranku,
Odwiedzaiąc wonne Zioła,
Y co do iey robot służy,
Siadła przykładna Pszczoła,
Na barwistym pończku Ruży,
Y schyliwszy listek mięki,
Piła świeżą łzę Jutrzenki.
Lecz gdy tak piie, i strzydełkiem rucha,
Przyleciała z drugiey strony,
Na tenże krzaczek zielony,
Nic nierobiąca Mucha;
Rzuciwszy oko na na całą pasiekę,
Na bieżącą przez nią Rzekę,
Na Lipy kwiatem pachnące,
Y na Demby cień daiące.
Westchneła; potym w przyiaźnym zarzucie,
Wyrażała tak swe czucie: „
„ Ach! iaki smutek dotkliwy,
„ Serce moie wskroś przeymuie,
„ Gdy się zewsząd zapatruię,
„ Jak siostro stan twoy szczęśliwy,

„ Kiedy biedne moie życie,
„ Rownam z twemi dostatkami,
„ Z pełnemi miodu ulami.
„ Niemogę tobie niezazdrościć skrycie,
„ Pszczoła tak iey odpowiada;
„ Niech cię twa niedziwi biadaś;
„ Wieszże skąd nasze są miody,
„ Skutkiem są pracy i zgody;
„ Widzisz te ule stoiące,
„ Mieszkaią w nich pszczoł Tysiące,
„ Zadna nieżyie dla siebie;
„ Każda ku wspolney potrzebie,
„ Daie co tylko posiada,
„ Jedna na drugą niesskłada,
„ Y gdy na obszar szeroki,
„ Okryty gryką i kwiatem,
„ Lecim w dzień pogodny latem,
„ Zbierać dobroczynne soki,
„ Im więcey ktora przynosi,
„ Tym bardziey radość swą głosi,
„ A pracą zebrane zapasy,
„ Słodzą nam zimowe czasy,
„ Prawda że ciąg dni szczęśliwych,
„ Ma także swoie przygody,
„ Y my iak inne Narody,
„ Mamy nieprzyiacioł mściwych.
„ (Y Pszczoła się zupełnie szczęśliwą nie mieni)
„ Nieraz tłum brzydkich Szerszeni,
„ Przychodzi miody nam ziadać,
„ Lecz co zwykła nami władać,
„ Y Matka nasza i Pani,
„ Zarowno iak iey poddani,
„ Razem z nami nienawidzi.
„ Y Szerszeniami się brzydzi,
„ A kędy miłość i nienawiść wspolna,
„ Tam iest przemoc nieudolna.
„ Inna we wszystkim u was odmiana.
„ Moia ty Mucho kochana,
„ Czyli w starości, czy w młodości kwiecie,
„ Od dziś do iutra żyiecie,

,, Rzadko, która z was pamięta;
,, Że całość Oyczyzny Swięta,
,, Pierwſzym powinna być celem,
,, Że ten iey nieprzyiacielem,
,, Kto o iey ſzczęście niedbały,
,, Kto ſię iey nie odda cały.
,, Los z wami ſrogie wyrzędza Igrzyſka,
,, Wſpolney potrzebie rzadko zaradzicie,
,, Y ieźli ſię zgromadzicie,
,, To albo w koło pułmiſka;
,, Albo na brzegu pełney ſzklanki wina,
,, W was ſamych nieſzczęść przyczyna;
,, Jeśli więc chcecie Pſzczoły naśladować,
,, Y być iak one ſzczęśliwe ſpokoyne,
,, Bądźcie dla dobra powſzechnego hoyne,
,, Chcieycie iak one pracować,
,, Ale inaczey w każdey paięczynie,
,, Niebaczny rodzay zaginie,
To rzekłſzy dłużey niemogąc ſię bawić,
Mądra Pſzczoła uleciała,
A Mucha co ią uważnie ſłuchała;
Trzeba ſię rzekła poprawić.



BRAT y SIOSTRA

POWIEŚĆ.

Gdzie huczne zwiedzaiąc morze,
Kupiec żaglem wiatry porze,
Na wyſpie iedney ſpokoyney,
Mieſzkał Narod znamienity,
Narod od natury hoyney,
We wſzyſtkie dary obfity;
A nadto w czym ieſt tak ſkompym los ſrogi,
Dał mu wolności dar drogi;
Była to wyſpa ſzczęśliwa,
Lecz iak i w wolnych Kraiach często bywa,
Kto zręcznie umiał ludowi dogodzić,
Mógł na potym ludem wodzić.
Tak ſię w tey wyſpie zdarzyło:
Niewiaſta iedna nadobna,
Zręczna obrótna, ſpoſobna,
Do tego przyſzła ſwą ſiłą,
Że iela rządzić narodem,
Sławna była dawnym rodem,
Uczony dzieła iey chowa,
Znana w Atenach i Rzymie,
Wſzędzie wolność czci iey imie,
Nazywała ſię *Wymowa*.
Poſtać nadobna, i w łudzącey twarzy,
Ogień z ſłodyczą ſię żarzy,
Chciwa ozdoby, i zimą i latem:
Nie dość że ſkronie uwieńczała kwiatem,

Do wdziękow co iey naturą,
Hoyną dłonią udzieliła,
Ona ieszcze pawie piura,
Dla ozdoby przyczyniła.
Suknie nosiła świecące,
Bardziey dla celu niż wdzięku,
Trzymała w obydwóch ręku.
Dwie pochodnie goreiące,
Nie żeby niemi umysły oświecać,
Lecz żeby pożary wzniecać.
A tak w wytworney postaci,
Przez słodkie oczu spoyrzenie,
Na zgromadzonych współ-braci.
Puszcza wdzięcznych słów strumienie:
Długo głupi i uczony,
Słodkim brzmieniem omamiony,
Od wielu widząc popartą,
Słuchał ią z gębą otwartą
Bog wie iak silną stała się iey władza
Sama wszystkiemu zaradza
Tym podchlebia, tych zasmuca
Na tych kwiatami rzuca
Wsrzòd ślepey zapalczywości
Nieraz gniewem uniesiona
Własne rozdziera wnętrzności.
Tak gdy niepowściągniona
(Czyli to iaka choroba
Czy rozumiała, że się to podoba)
Y gada zawsze i gada
Y kiedy cała gromada
Na wszystkie potrzeby głucha
Nic nie robi tylko słucha,
Ustała wszelka robota,
Budowy na puł wzniesione,
Zostały niedokończone.
Bo zawsze wymowna Cnota,
Wolała gadać iak czynić,
Y mniey zachęcać iak winić.
Już się rok schylał do końca,
Jako rzesza prożnuiąca,

Niepomna ważnych widokow,
Godzino-płynnych słuchała potokow.
Nakoniec los szczęśliwy otworzył im oczy,
Poznali że chcąc ludźmi dobrze władać
Niedosyć iest tylko gadać,
Ze gdy się z słowy skutek niejednoczy
Znayprzyiemnieyszą wymową
Często można podrwić głową,
Zaczeli więc myślić wielce,
Przydać kogo rządzicielce.
W teyże wyspie zdrugiey strony,
Mieszkał w zaciszy szczęśliwey,
Cney *Wymowy* brat rodzony,
Nieznał żądzy świegotliwey,
Stały w sercu w słowach skromny,
Nikczemnych uraz niepomny,
Lubił iasność i porządek,
Y nazywał się *Rozsądek*.
Bardziey powolny niż ostry,
Zdaleka patrzał na szaleństwa Siostry,
Zrazu zbawienne chciał iey daweć rady,
Ale narod zapalony,
Wraz go posądził o zdrady,
Z zwgardą został odrzucony.
Lecz prędki tryumf go czekał,
Gdy się bowiem czas odwlekał,
Skutki proźnego gadania,
Y ustawnego słuchania,
Do tego lud ten przywiodły,
Ze z pokornemi modły,
Przyszły rozsądku prosić,
Zeby go bronił od zguby,
Y niechcąc więcey błędow Siostry znosić,
Wprawił rzeczy w ściśle kluby.
Dobra Oyczyzny pragnący,
Podiął się usług skwapliwie,
Y by duch wszystko palący,
Mógł umiarkować szczęśliwie,
Y z Siostrą zaradzać zgodnie,
Zostawił iey świetne szaty,

Y pawie pióra i kwiaty,
Ale odebrał pochodnie.
Tak Brat z Siostrą wspólnych darow,
Gdy używa dla Oyczyzny,
Nie było więcey pożarow,
Zgoiły się dawne bliźny,
Y wyspa pokoy zyskała:
Nikt się już więcey niewadził,
Słodka wymowa serca poruszała,
Ale umysły rozsądek prowadził.



PLOTKI

HISTORYA PRAWDZIWA.

W środku ſamego Miaſta
Na boku ogrodu,
Gdym ſzedł latem używać pogodnego chłodu,
Uderzyła mię w oczy, (nie wiem czy Niewiaſta,
Czyli poſtać płci Męſkiey) duża i nadęta,
Cała ſzatami była obwinięta,
Nad uprawną rolą ſtała,
Y w ręku koſz duży trzymała;
Zdziwiony zbliżam ſię pędem,
Pytaiąc ſię, iak ſię zowie?
Widmo mi na to odpowie:
„ Zowią mię na świecie *Błędem*,
„ Na tey tu uprawney roli,
„ Zaſiewam plotki powoli:
" *Letkość* i *Zazdrość* ſą moie naſiona,
„ W pracy moiey nieznużona,
„ Sieiąc, przebiegłam wſzyſtkie Krainy,
„ Lecz nie wiem z iakiey przyczyny.
„ Nigdzie ſię plotki tak buynie nie rodzą,
„ Nigdzie tak pięknie nie kwitną nie wſchodzą,
„ Nigdzie nie ſą w takiey ſławie,
„ Jak tu w Warſzawie:
„ Nadto do ſłońca mniey ſtoſowne biegu,
„ Rodzą ſię latem, rodzą i na śniegu:

„ Nie

„ Nic im wzroſtu brać nie broni,
„ Zadna nie ſpoźnia zwłoka; "
To wyrzekłſzy z hoyney dłoni,
Naſienie rzuca na niwy:
Co za cudo! w mgnieniu oka,
Podnoſi ſię plon ſzczęśliwy,
Cała ſię rola zieleni,
Kwiat ſię razem rozwiia i owoc rumieni;
Jak owe jabłka ponſem zażywione,
Okryły nowe krzewy plotki niezliczone;
Plotki różnego rodzaiu,
Wſzyſtkie ſtoſowne do Kraiu.
Gdy mię ten widok nadzwyczayny łudzi,
Tłok nie przeyrzany ludzi,
Porzuciwſzy dzieci, domy,
Tak ślicznych plotek łakomy,
Naſycać ſię niemi śpieſzy:
Choć owoc z wierzchu ſię lſknący,
Wewnątrz zaś puſty i nic nie maiący;
Dziwnie był ſmaczny dla ciekawey Rzeſzy:
Ten ie więc chciwie zaiada,
Ten w pudła przygotowane,
Zerwawſzy plotki rumiane,
Pięknie ie liściem przekłada,
I oddawſzy do rąk pewnych,
Poſyła na Wieś dla Krewnych;
Tam daley Kobietki płoche,
Ładne, dowcipne, złe troche,
Zbieraią ciche i głośne,
Plotki miłośne.
Tu Człek nadęty i dumny,
Choć obrotny i rozumny,
W zniżeniu ſwym innego nie maiąc lekarſtwa,
Jak ſame baśnie i łgarſtwa,
Zbiera plotki polityczne,
Y ſzle ie w mieyſca rozliczne.
Ci widząc iak za bayki nadgroda ieſt chlubna,
Przeſyłaią ie do Dubna;
Daley podli zauſznicy,
Zyſków chciwi podchlebnicy.

Zrywali plotki domowe,
Niezgody mnożyć gotowe;
Kiedy tak liczna gromada,
Pakuie plotki i one zaiada,
Pokazała ſię Niewiaſta nadobna,
Żadnym wytworem nie była ozdobna,
Ani iey ćmiła zaſłona.
Lecz lętki rombek białe przykrywał ramiona,
W ręku gorzała pochodnia zaięta,
Była to prawda święta:
Y zaledwie wzrok pogodny
Rzuciła na plon odrodny,
Zniknoł błąd plotki ſieiący,
Znikneły fałſzywe drzewa,
A lud ſię dopiero zdumiewa,
Że tak był bardzo łaknący,
Plotek co tylko ſą dymem fałſzywym.

O! święta prawdo mieſzkay zawſze z nami,
Ciebie my ſzlubem wzywamy życzliwym,
Niechay nas twoia pochodnia oświeca,
Niech błąd niezgody w pośrzod nas nie wzniecą,
Niech Narod światły iaſno zawżdy widzi,
Szanuie prawdę, a plotek ſię wſtydzi.

KUNDLE.
POWIESC z FRANCUZKIEGO.

Człowiek cnotliwy, lecz obciążon trofki,
Szedł wieczorem mimo wiofki;
Pies zaczoł fzczekać, a za nim tuż drugi,
Wkrótce trzody wierne ługi,
Z całey wfi Kundle wypadłfzy fkwapliwie,
Wyć zaczeły przeraźliwie.
Czemuż, ktoś fię ich fpytał, tak ftrafzne fzczekanie?
Nie umiał odpowiedzieć żaden na pytanie,
Żaden nie znał przyczyny, wfzyfcy wyli razem.
Publicznych wrzafkow, to ieft prawdziwym obrazem.
Ten błędnie coś ufłyfzał, drugi wraz powtarza,
Łaie, fzkaluie, i ogień rozżarza.
Pełen żółci i goryczy,
Sam nie wie dla czego krzyczy.
Cnotliwy (ktoś mi powie) potwarze te znofi,
Zły ie człowiek wymyśla, a głupi roznofi;
Lecz cnotliwy częftokroć życiem ie przypłacił,
Przez nie Sokrates, wolność nayprzod ftracił
Y zawftydzaiąc zarzuty bezczelne,
Pił mężnie iady śmiertelne.
Przez nie Aryftyd wygnaniem fkarany,
Przez nie Scypio fzkalowany;
Prześladowaniem, podftępną robotą,
Zazdrość mściła fię nad cnotą:
Ona fkrufzyła wolności Ołtarze,
Któż Rzymu, Grecyi kwitnące krainy
Poddał w niewolę, i okrył ruiny,
Zazdrość, niezgody, potwarze.
Moi Panowie, widzicie przykłady,
Nie pofądzaycież cnotliwych o zdrady,
Oyczyzna na tym naywięcey fzkoduie,
Wy fię gryziecie, któż ią poratuie!

KRETY

BAYKA.

Kiedy wszystko źle się dzieie,
Kiedy nieufność, niezgody,
Zniszczywszy wszystkich nadzieie,
Zostawią rzeczy iak wprzódy,
W smutnym losow naszych względzie,
Niech przynaymniey wolno będzie.
Kiedy już prawda nie miła nikomu,
Siedzącemu cicho w domu,
Przed kochanemi wspòł-bracią,
Powiedzieć prawdę pod bayki postacią.
Ogrodnik ieden rozsądny,
Pracowity i porządny,
Dostał po Oycu niedbałym,
Sad drzewy zewsząd okryty,
Sad ten, był niegdyś ogrodem wspaniałym:
Lecz czas srogi nieużyty,
A bardziey ieszcze przeszli ogrodnicy,
Co się w tym sadzie rządzili,
Tak go srodze opuścili,
Żeś już nie poznał i iedney ulicy.
Same chwasty i rośliny,
Pomiędzy niemi gadziny,
Kwatery pozarzucane,
Drzewa wszędy połamane,
Słowem z pełnego wprzód owocow sadu,
Zrobili puszcze bez sprawy i ładu.
Tak więc rzeczy opuszczone,
W spadku nowemu dostały się Panu.
Chciał ie przez prace łożone,
Do dawnego przywieść stanu:

Ha tę więc nową, porządnie ułożył,
Tutay ulice naznaczył,
Daley inſpekta założył,
Tu drzewom owoc noſzącym,
Tutay lipom wonią tchnącym,
Właściwe mieyſca przeznaczył.
Gdy ſię nadziei podaie,
Przyſzłego ſzczęścia, porządku,
Zaraz na ſamym początku,
Nieznośnych przeſzkod doznaie.
Kto rzeczy ważney chce ſię podeymować,
Nim poſtąpi w ſwoim dziele,
Znoſić muſi przeſzkod wiele,
Y z zazdrością ſię paſſować.
Ten los ſpotkał ogrodnika,
Zaledwie pierwſzą ulicę wytyka,
(Więcey użytku pragnąc niż zalety)
Wnet utaione Krety
Ziemię, ktȯra ſię zaczęła proſtować,
Jęły ryć w koło i toczyć i pſować!
A choć wprzȯd z ſobą niezgodne,
Chęć pſucia i wywracania,
Złączyła plemie odrodne,
Już ſą iednego zdania,
Y te co pierwey na ſiebie pryſkały,
Dziś ſię czule całowały
Daremnie ogrodnik ſmutny,
Przekładał im raz okrutny,
Który robocie iego zadawały,
Krety wcale nie ſłuchały.
„ Przebóg! wſtrzymaycie ſię proſzę,
„ Od tego rycia i toku,
„ Jakież w tym macie roſkoſze!
„ Pan Bȯg wam nawet nie użyczył wzroku,
„ Slepe, prawdziwie nie wicie,
„ Czego chcecie, co robicie. “
Prȯżne gadanie, rodzay zapyrzony,
Toczył we wſzyſtkie ſtrony.
Owſzem do ſiebie tak Krety mówili:
„ Byśmy tylko przeſzkodzili,

„ Zeby przed zimą nic się niezrobiło.
„ Tośmy iuż potym wygrali,
„ Wiatr pułnocny z całą siłą,
„ Przyidzie, i wszystko obali. "
Nie były słowa daremne,
Dotrzymały Krety ciemne,
Układy swoie zdradliwe,
Na próżnych usiłowaniach,
Y ustawicznych pstowaniach,
Mineło lato szczęśliwe,
Znikneła wszelka otucha,
Zima, śnieg i zawierucha.
Zniszczyły wszelkie roboty.
Uciesżyły się niecnoty;
Biedny ogrodnik cięźko się zasmucił,
Y dzieło swoie porzucił.
A tak przez Kretow, utraconym czasem
Ogrod znowu stał się lasem,
Y kto chciał to w nim polował,
Niszczył, wycinał, plondrował.



BEKIESZKA.

BAYKA.

Zima nadeszła i Borea plemie,
Sniegiem okryło iuż ziemie,
Biedni mieszkańce pułnocney krainy,
Jak gdyby tylu zgryzot przyczyny,
Tylu przykrości nie mieli,
Jeszcze i zimno cierpieć musieli.
Kóżdy więc od mrozu się bronił,
Y czym mogł, tym się ochronił,
Kmiotek okrył się kożuchem,
Lecz Pan co przednieyszym duchem,
Czuie się być zażywionym,
Z potrzeby zbytki porobił,
Y futrem z dalekich kraiow sprowadzonym,
Wyniosłe barki ozdobił.
Pokazały się gładkie popielice,
Ze złotem tkane petlice.
Krzyżaki, kuny, marmurki,
Y Astrakańskie burki,
Kiereie z srogich niedzwiedzi,
W którey Pan Podczaszy siedzi;
Delyiki ze grzbietow rysich,
Lecz naywięcey futer lisich,
Między wszystkiemi atoli
Biekiesza z pięknych soboli,
Pyszniła się miną hardą,
Y z niesłychaną pogardą,
Patrzyła na niedzwiedzie, szłamy, gronostaie;
Y kiedy tak wszystkich łaie,

Czuła kiereyka na swe poniżenie,
Do sobolow się zbliżyła,
Y gdy z nienacka poły iey odkryła,
Co za fałszywość niecnoty!
Patrzy! iakie zadziwienie,
Z wierzchu sobole, a pod spodem koty.
Niebaczni ludzie, wy sami nie wiecie,
Jak wiele takich bekieszek na świecie,
Niechcieycie nigdy w tym zepsutym wieku
Z powierzchowności sądzić o człowieku,
Nie ieden, gdy się zasłony odwiną,
Katonem w słowach, w sercu Katyliną.

OKRĘT.

POWIEŚĆ z FRANCUZKIEGO

Okręt miotany wiatrami
Szedł iako tako wpośrzod nawałności,
Y podrożni z żeglarzami,
Gdyby się byli trzymali w iedności,
Oparliby się tey burzy;
Lecz próżno: im bardziey Niebo się chmurzy,
Tym bardziey, zamiast czynienia,
Zwłoki tylko i mówienia.
Do Zaglow..... iuż skała bliska,
Wołali tam i owdzie rozsądni maytkowie,
Zle się kieruiem, fala nami ciska,
Przebóg! mniey obfici w mowie,

Bądźmy czynnieyſi, tu na głos tak zdrowy
Mowca ieden dowodził, lecz nie czterma ſłowy,
Że chcąc zachować życie i majątek,
Trzeba roztrząſnąć wprzod wiatrow początek,
Przyday rzekł drugi. zkąd wód wzroſt i ſpadek,
Nie to, trzeci zawołał, ſądząc, że przypadek
Nayrozumniey rozwiąże i pogodzi ſpory,
Patrzcie, pioruny iak huczą z łoſkotem,
Poſtawić trzeba wprzody konduktory,
Y Zaſłonić ſię przed grzmotem.
Nakoniec wſzyſtkie zdania zważane bez zgody,
Bardzo może przyzwoite,
Na lądzie, lub w czas pogody,
Opuźniaiąc ratunek, mowce znamienite,
Sternika i okręt cały
Pędem rozbiły o pułnocne ſkały.
A tak mimo ratunku ſpoſoby gotowe,
Wſzyſtko zginęło, przez zbytnią wymowę.
Czemuż przykładu tego nie użyiem,
Potrzeba nagli; moi przyiaciele,
Wierzcie rozumu, mamy nadto wiele,
Czas próżno tracim, o brzeg ſię rozbiiem.

DUMY POLSKIE.

D U M A
O
ZOŁKIEWSKIM.

Za ſzumnym Dnieſtrem, na Cecorſkim błoniu,
Gdzie Zołkiewſkiego, ſpotkał los okrutny,
Jechał Sieniawſki odważny i ſmutny
W błyſzczącey zbroi, i na śnieżnym koniu.

May właśnie drzewa, i kwiaty rozwiiał,
Xiężyc w noc cichą świecąc roztoczyny
O srebrne skrzydła, i Hełm się odbiiał,
Lecz Rycerz wzdychał żalem obciężony.

Niebieskie oczy serce mu zraniły,
Y swą srogością pokoiu zbawiły,
Wzdychał; koń iego myślom się stosował,
Z zwieszoną głową zwolna postępował.

Tak dumał, alić po bladym promieniu
Błyszczącą widzi stal po między krzaki;
Był to Hełm; na nim, w zbyt drogim kamieniu
Herb Zołkiewskiego, i krwi. z rdzy znaki,

Zdiął go, i na tak tkliwe widowisko,
Jął mężny Rycerz rzewne łzy wylewać,
A widząc srogie walk poboiowisko,
Usiadł, i takie zaczął Rymy śpiewać.

Cecorskie pola, i wy głuche lasy,
Co na wierzchołkach swych wiatry niesiecie,
Roznieście ciężkie żale me po świecie,
Nad Wodzem sławnym, w wiekopomne czasy,

Mężu! co sławy chęć wyssałeś w mleku.
Zamoyski twoie przepowiedział cnoty,
Pod iego znakiem w wiosny ieszcze wieku,
Siałeś mord srogi w liczne Szwedów Roty,

Cóż gdy Hetmanem zostałeś z *Rycerza*,
Y świetnym Pułkom przywodzić zaczołeś,
Granice Polski ręka twa rozszerza,
Podbiłeś Państwa, i iuż Moskwę wziąłeś.

A gdy się walą wieże niebotyczne,
Dawnego grodu, oręż twóy gotowy,
Woyska Moskalów rozproszywszy liczne,
Wkłada na Carów zwycięzkie okowy.

Hetmanie pełen nieśmiertelney sławy!
Dniu w sercach Polskich nigdy niezmazany!
Kiedyś z szczęśliwey wrociwszy wyprawy
Przed zgromadzone, stawił Jeńców Stany.

Król Zygmunt ſiedział na Tronie, a w koło
W ſzkarłatnych ſzatach poważni Oycowie,
Młody Władyſław ſpozierał weſoło,
W tym wſzedł Zołkiewſki, a za nim Carowie.

Królu; Narodzie, wolny i potężny,
Wiodęć ród Carów, nieſzczęſny lecz mężny,
Przyim go nieiako chluby widowiſko,
Lecz iak odmienney fortuny igrzyſko.

Bodayby Nieba co nam dziś ſzczęściły,
Wiodły zwycięztwa za Orły Polſkiemi,
Bodayby Wnuki ſpoſoby ſrogiemi,
Za krzywdy Przodków nigdy ſię nie mściły!

Ty Władyſławie byś iey klęſki ſłodził,
Moſkwać przezemnie ſzle poddańſtwa ſzluby,
Rządź nią, lecz wſpomniey kędyś ſię urodził,
Niechay ci kray twóy zawſze będzie luby.

Tak mówił Hetman; któżby rzekł, że chwile
Tak świetne, w ciężkie zamienia ſię klęſki,
Ze nie mogąc ſię Turków oprzeć ſile,
Szanowną głowę, da pod miecz zwycięzki.

Obóz mu cały w śrzod łez i rozpaczy,
Wynioſł grobowiec, i zwłoki w nim ſchronił,
Na nim ten napis śmierć i cnotę znaczy,
„ On pierſi ſwemi Oyczyznę zaſłonił,

Ty drogi Hełmie, ſkronie mu wieńczyłeś,
Y włos z ſiwiały na pracach Oyczyzny,
Ty w bitwach młodym Rycerzom świeciłeś,
Tyś mu na czele, krył ſzlachetnym, blizny.

Przyſięgam, że cię na głowę nie włożę,
Aż nieprzyiacioł krwią mego nie zmyię,
Aż cieniom wodza ofiary nie złożę.
Y pól Cecorſkich trupem nie okryię.

A tak Sieniawſki kożdy bóy ſtoczony,
Chciał, by dla niego był chwałą lub zgubą,
Dotrzymał ſłowa, i Laurem wieńczony,
W ogromnym Hełmie ſtanął przed ſwą lubą.

Niebieſkie oczy przyięły go mile,
Bo zdawna cnotę zwykły tylko cenić,
Po boiach, ſłodkie przyſzedł pędzić chwile,
Y Laur za myrtu gałązkę zamienić.

DUMA
O
STEFANIE POTOCKIM.

Słuchaycie Rycerze młodzi,
Załoſney Lutni ięczenie,
Niech w was chęć do ſławy rodzi,
Dawnego męſtwa wſpomnienie,
Słuchaycie iak ſławny wieniec,
Walcząc w Oyczyzny obronie,
Zyſkał odważny młodzieniec,
Y w ſzlachetnym poległ zgonie.

Już Podola żyżne niwy,
Chmielnicki Hordy zalegał,
Już głoś matek przeraźliwy,
W ſmutnych ſię ſkadach rozlegał,
Rzuca Rolnik pług i role,
Wſzędzie hoże wiodą branki.
Paſterz woli iść w niewole,
Niż odſtąpić ſwey kochanki:

Syt wieku ſzczęścia i ſławy,
Mikołay woyſku przywodził.
Gdy ięk Ludu i mord krwawy,
Do uſzu Jego dochodził,
Weſtchnoł, i twarz mu ſędziwą,
Łez potok ſkropił obfity,
Wſpomniał na młodość ſzczęśliwą.
Y na wiek ſwoy nie użyty.

A gdy ſiła chęci zdradza,
Gdy grôt z ſłabey pada dłoni,
Syn cięſzką ſtarość nadgradza,
Zdolny do konia i broni.
Niechętnie Potocki młody,
Dni ſwoie trawił w pokoiu,
Męſtwo łączył do urody,
Y drzał na wſpomnienie boiu.

Synu rzekł, Hetman ze łzami,
Kray twoy w cięſzkiey ieſt potrzebie,
Idź broń go twemi pierſiami,
Bądź godnym Przodkow i ſiebie.
Wiedź że w każdey życia dobie,
Dla Oyczyzny tylko żyieſz,
Ja ſzczęśliwy legnę w grobie,
Gdy ſię ty chwałą okryieſz.

To mówiąc żegna Rycerza,
Czułe mu daiąc ściśnienie,
Już Stefan zbroię przymierza,
Już czarne włoſow pierścienie.
Złotym okrywa ſzyſzakiem,
Lecz nim zbroyny wſzedł do ſzranku,
Między cnych Panien orſzakiem,
Poſtrzegł ſwą lubę na ganku.

Elżbieta młoda i hoża,
Wierna miłości i chwale,
Twarz miała świżſzą iak Róża,
Uſta żywſze nad korale.
Cel życzeń wſzyſtkiey młodzieży,
Temu ſerce ſwe oddawa,
Kto do boiu pierwſzy bieży.
Komu droga miłość, ſława,

Sława Rycerz uzbroiony;
Przed ſwey kochanki oblicze,
Tobiem winien rzekł wzruſzony,
Zycia moiego ſłodycze.
Niechay mi twoie wſpomnienie,
Towarzyſzy w bitw zapale;
Niech oſtatnie życia tchnienie;
Poświęcę tobie i chwale,

Żal przerwał czułą przysięgę,
Głos Elżbiety płacz tamuie,
Zdiąwszy z siebie białą wstęgę;
Rycerza nią przepasuie.
Idź, powroć cośmy stracili;
W ten znak miłości przybrany,
Bodaybyś był w każdey chwili,
Rownie szczęsny iak kochany.

Lecz iuż trąb i kotłow wrzawa,
Zgromadza zewszą Rycerze;
Tuman kurzawy powstawa,
Wszędzie hełmy i pancerze.
Dziedziniec, bramy, i wieże,
Zewsząd okrył lud ciekawy;
Spada most co zamku strzeże,
Ciągnie woysko na boy krwawy.

Nim przyszli pod Zólte wody,
Ciągneli spiesznie noc całą,
Słońce w dzień tey złey przygody;
W krwawych obłokach powstało.
Bohdan hufce swe rozłożył,
Jak tylko oko zamierza,
Mnostwem się Stefan nietrwożył;
Z garstką na tłumy uderza.

Już Woyska zwarły się razem;
Smierć niosące ognie błyszczą,
Hełm się zgina pod żelazem,
Strzały na powietrzu świszczą.
Lecz gdy wodz nieulękniony,
Walczy w tłumie niebeśpiecznym,
Strzałą w piersi ugodzony,
Pada uięty snem wiecznym.

Tak pewne naszych zwycięstwo.
Zgon wodza młodego zdradza,
W żal cięszki zmienia się męstwo;
Woysko się w koło zgromadza.
Łzami skrapiaią twarz bladą,
Y otarłszy ze krwi bliźny;
Ciało na tarcze swe kładą.
Nadzieie woyska, Oyczyzny.

Wpośrod Dombrowy zieloney,
Zwłoki Rycerza złożyli;
Y na wſtędze krwią zbroczoney,
Zbroie Jego zawieſili.
Tym nieſzczęśliwa kochanka,
We łzach pędząc dni nieznośne,
Od wieczora aż do ranka,
Rozwodzi ſkargi miłośne.

Spoczyway Rycerzu mile,
Między cichym drzew tych cieniem;
Niech Xiężyc głuchey mogile.
Przyiaznym świeci promieniem,
Jeźli kiedy Rycerz mężny,
W tey ſię tu znaydzie Krainie,
Spoyrzawſzy na grob potężny;
Nieh iak ty walczy i ginie.



PIEŚŃ.

Raz patrzaiąc na mą Zofie
Gdy ſkronie wieńczyła kwiatem,
Tyś ieſt rzekłem moim światem,
Ty ſtanowiſz o mym loſie
Wzrok twóy czuły lub okrutny,] bis.
Jam ſzczęśliwy albo ſmutny.

Gdyby mi wybierać dano,
Czyli wolę ſkarby złote,
Czyli me Zofie kochaną,
I iey wdzięki i iey cnote,
Rzekłbym weś złoto, kamienie,] bis.
Ja wolę Zofi ſpoyrzenie.

Ruża co dzień tylko żyie.
Jednak z Zefirem omdlewa,
Słowik co ſię w liściach kryie,
Przez wioſne ſwey żonce śpiewa,
Ty Zoſiu w młodości kwiecie,] bis.
Chceſzże żyć ſama na świecie.

Nie ta Paſterka ſzczęśliwa,
Którey zaletą ozdoba,
Ni co ſię wielu podoba,
Ale ta co żyie tkliwa,
Co powiedzieć może. — wierze,] bis.
Jeſt ktoś co mnie kocha ſzczerze.

Ach! ieſt co dla Zofi żyie,
Co ią nadewſzyſtko ceni,
Miłość on ſwą wiernie kryie,
Niech ſię Zofia nie rumieni,
Lecz choć uſta nie mowiły,] bis.
Przecież go oczy zdradziły.